

Selim Kryczyński

Liceum 1954 – 1958

Część 1

W 1954 roku w czerwcu skończyłem naukę w Szkole Podstawowej nr 23 i złożyłem papiery do XIV Liceum Ogólnokształcącego im. Klementa Gottwalda. Nie umiem powiedzieć, czyj to był wybór – czy mój, czy Rodziców, czy może była jakaś rejonizacja. Tym bardziej nie umiałbym powiedzieć, jakie były przesłanki tej decyzji. Być może, chodziło po prostu o to, by szkoła była jak najbliżej. Blżej mieściły się wprawdzie Liceum im. Narcyzy Żmichowskiej przy Klonowej w pobliżu Placu Unii Lubelskiej i Liceum im. Hoffmanowej gdzieś przy Polnej, ale obie te szkoły były wówczas szkołami żeńskimi. Do Gottwalda starali się też dostać Karol Bakałasz i Wojtek Walczak, moi koledzy z klasy. Chyba Joasia i Fredka Kamińskie też chciały do Gottwalda, ale ich papiery zostały skierowane do Liceum im. Juliusza Słowackiego na Wawelskiej i tam uczyły się do czasu wyjazdu z Polski gdzieś w 1955 czy 1956 roku. Zupełnie też nie pamiętam, kiedy dowiedziałem się, że jestem przyjęty do Gottwalda. Pamiętam natomiast, że 1 września 1954, kiedy przyszedłem do nowej szkoły, dowiedziałem się, że zostałem przyjęty do klasy z językiem łacińskim, co zupełnie mi się nie podobało. Poinformował mnie o tym Karol, który trafił do klasy z językiem francuskim. Nie znaczy to,

że w tych klasach językiem nauczania była łacina, czy francuski, ani też, że obowiązywał tam rozszerzony kurs tego języka. Były trzy równoległe klasy ósme (dziś powiedzielibyśmy pierwsze licealne). Wszyscy obowiązkowo uczyli się rosyjskiego jako jednego z języków obcych i była to kontynuacja nauki trwającej od V klasy podstawówki. W liceum rozpoczynało się naukę drugiego języka obcego. W Liceum Gottwalda oferowano do wyboru jeden z trzech – francuski w klasie A, łacinę w klasie B i niemiecki w klasie C. Los chciał, że przypisano mnie do klasy B. Nie chciałem uczyć się łaciny, a ponadto w klasie A byli Karol i Wojtek. Dyrekcja szkoły nie chciała słyszeć o przeniesieniu w trosce o to, by we wszystkich klasach była mniej więcej równa liczba uczniów. I tu bardzo pomógł mi Karol. Znalazł w klasie A dziewczynę, która chciała uczyć się łaciny, a na zamianę szkoła wyraziła zgodę. W ten sposób po dwóch lub trzech dniach „pobytu” w klasie B zostałem przeniesiony do A, co z pewnością było szczęśliwym wydarzeniem. Była to bardzo dobra i zgrana grupa młodzieży. Lata licealne wspominam bardzo dobrze, a kontakty z kolegami trwają do dziś. Nie są to, oczywiście, takie codzienne i bliskie kontakty, jakie mieliśmy w tamtych latach, ale odbyło się parę spotkań koleżeńskich, a dziś nasza klasa ma swoją własną witrynę internetową, na której można znaleźć aktualne informacje o wychowankach tej klasy często z aktualnymi zdjęciami, a także nieco wspomnień ilustrowanych zdjęciami z tamtych lat.

W ciągu jednego tylko 2005 roku odbyło się kilka spotkań towarzyskich, czasem w niewielkich grupach, ale więź istnieje.

XIV Liceum Ogólnokształcące wówczas im. Klementa Gottwalda, a dziś im. Stanisława Staszica mieściło się i mieści nadal przy ulicy Nowowiejskiej. Jest to fragment ulicy między Aleją Niepodległości a ulicą Krzywickiego, za którą zaczyna się teren filtrów warszawskich. Na południowo-zachodnim narożniku skrzyżowania Alei Niepodległości z Nowowiejską stoi kilkupiętrowy budynek mieszkalny, potem jest mała ulica Sędziowska, a za nią zaczyna się teren szkoły, który ciągnie się prawie do ulicy Krzywickiego. Jeszcze nie tak dawno przejeżdżałem tamtędy codziennie jadąc do pracy (tramwajem Aleją Niepodległości od Dworca Centralnego w kierunku Mokotowa) i miałem okazję patrzeć na budynek mojej dawnej szkoły, który właściwie dziś wygląda prawie tak samo, jak wyglądał wtedy. Nie wykluczam, że to właśnie widok dawnej szkoły skłonił mnie do pisania tych wspomnień.

Budynek szkolny jest zwrócony frontem do ulicy Nowowiejskiej. W tej właśnie jego centralnej części na parterze mieściła się szatnia i stołówka, która służyła również jako sala balowa, a w okresie matur jako sala, w której pisało się pisemną część egzaminu. Na I piętrze był gabinet dyrektora Liceum, pokój nauczycielski, a także pracownia chemiczna i fizyczna. Był tam też gabinet lekarski. W skrzydle bliższym Alei Niepodległości na dole była sala gimnastyczna z szat-

niami i natryskami. Na piętrach mieściły się poszczególne klasy, a na końcu były pracownie, z pewnością była tam pracownia biologiczna. Drugie skrzydło zajmowała inna szkoła. Dalej za tym skrzydłem było boisko, na którym przy sprzyjającej pogodzie odbywały się lekcje wychowania fizycznego.

Dyrektorem szkoły był przez całe 4 lata naszego w niej pobytu pan Józef Wojciechowski, bardzo poważny i dystyngowany człowiek. Był już niemłody, ale trzymał się zawsze prosto, co przy szczupłej sylwetce sprawiało wrażenie, że jest wysoki. Uczył nas matematyki z pewnością w ósmej klasie, a może i w dziewiątej. Pan Wojciechowski był nauczycielem skrupulatnym i pedantycznym. Każdą rzecz, a zwłaszcza dowody różnych twierdzeń z geometrii tłumaczył nam bardzo powoli i starannie. Kiedy zakończył objaśnianie, miał zwyczaj pytać, czy zrozumieliśmy wszystko. Klasa zgodnym, choć niekoniecznie równie pewnym chórem odpowiadała, że tak, wszystko jasne. Wtedy pan Wojciechowski pytał, kto nie rozumie. Oczywiście, nikt się nie zgłaszał. Kandydatów na samobójców w tak młodym wieku trudno jest znaleźć. Wówczas dyrektor wyrwał do tablicy jednego z uczniów znanych z matematycznych „talentów” i kazał mu przeprowadzić dowód twierdzenia. Biedny uczeń na ogół nie umiał tego zrobić, z czego pan Wojciechowski wyciągał wnioski, że nie wszystko jednak dobrze wytłumaczył i z powagą przystępował do powtórzenia

całego dowodu, po czym wszystko się powtarzało – pytania o to, czy wszystko jest dla nas jasne, wyrwanie kolejnego matematyka z bożej łaski do tablicy i tak da capo. Było to straszne. Moje talenty są raczej humanistyczne, a skłonności raczej biologiczne. Nigdy nie błyszczałem z przedmiotów ścisłych, ale najdalej za drugim razem rozumiałem rzecz całkiem dobrze, na ogół zresztą już po pierwszym wykładzie wiedziałem, o co chodzi. Wysłuchiwanie tego samego trzeci, czy czwarty raz nie poprawiało stanu mojej wiedzy, a raczej budziło odruch protestu. Prawem kontrastu, w dwóch ostatnich klasach patronat matematyczny nad naszą klasą przejęła pani Kaczmarczykowa, której metoda dydaktyczna była skrajnie odmienna. Tłumaczyła wszystko szybko i sprawnie i, jak to się mówiło, prawą ręką pisała, a lewą już ścierała. Nie znaczy, że pani Kaczmarczykowa była kiepską nauczycielką. Przeciwnie, była bardzo dobrą nauczycielką. Chodzi mi o to, że klasa przyzwyczajona do dostojnego stępu panna Wojciechowskiego została nagle porwana do galopu, a nawet cwału. Wyszedłem ze szkoły z oceną dobrą z matematyki, mimo braku talentu do tego przedmiotu. Maturę napisałem na 4, a ustną zdałem nawet na 5. Trzeba te informacje odczytać jako wysoką ocenę nauczycieli.

Naszym wychowawcą przez 4 lata był młody nauczyciel pan Zdzisław Marek. Wcześniej uczył w podstawówce i byliśmy pierwszą klasą, którą objął po przejściu do nauczania w liceum. Uczył nas historii

i, trzeba przyznać, nie najlepiej mu to szło. Może szkoda, bo to ważny przedmiot, a dzieje naszego kraju były i powikłane i dość bolesne. W tamtych czasach nie można było jednak i tak uczyć prawdziwej historii. Pan Marek był jeszcze mało doświadczonym nauczycielem i zdarzało mu się nawet zgubić w toku wykładu. Jeśli taka czarna dziura zdarzyła się, kiedy był akurat w pobliżu stolika nauczyciela, ratował się zaglądając do podręcznika. Gorzej było, kiedy zanik pamięci dopadał go akurat gdzieś w drugim końcu klasy. Ale i z takich opresji salwował się dzielnie. Szybkim krokiem zmierzał w kierunku książki powtarzając „jak więc wiemy” lub „jak nam wiadomo”. A kiedy już dotarł do zbawczej książki, dowiadywaliśmy się wreszcie, co wiemy i co nam wiadomo. Starał się w każdym razie bardzo i to trzeba mu zapisać na plus. Był też w sumie dość wyrozumiałym wychowawcą. Często wprawdzie przybierał groźne i surowe pozy i wygłaszał do nas długie i płomienne mowy mające nas nawrócić na drogę szkolnej cnoty. Kiedy ktoś się szczególnie naraził, pan Marek zwykł był grozić nam, niezbyt chyba wychowawczo, podcinaniem skrzydełek. Wieszczył przecież mówił: „Młodości, dodaj mi skrzydła, niech nad martwym wzleczę światem”. Nasz wychowawca był jednak zupełnie jak ten pies, co to groźnie szczeka, ale nie gryzie. Ten jego komicznie czasem groźny ton był przyczyną powtarzanego bardzo często w naszej klasie powiedzenia: „Cicho, bo przyjdzie Zdzicho i uspokoi całe towarzyscho!”. Znacznie później

dowiedziałem się, że tekst ten użyty był w którymś z numerów prezentowanych przez STS, czyli słynny w tym czasie Studencki Teatr Satyryków. Nie jest wykluczone, że autor tego numeru zaczerpnął to powiedzenie od nas. Jeden, a może nawet dwóch z naszych kolegów kręciło się przy STS i któryś mógł to powtórzyć komuś z prawdziwej ekipy autorsko – wykonawczej. Wtedy, w szkole, nie zawsze zdawaliśmy sobie sprawę z tego, jaki naprawdę jest nasz wychowawca. Dopiero po maturze dowiedzieliśmy się, że zawsze bronił nas jak lew przed innymi członkami rady pedagogicznej, a on sam przyznał, że byliśmy bardzo sympatyczną i dobrą klasą. Od innych nauczycieli też usłyszeliśmy opinię, że byliśmy interesującą i wszechstronną grupą młodych ludzi i, że krótko mówiąc, byliśmy w tym okresie najlepszą klasą w szkole. Ale i w czasach szkolnych odczuwaliśmy nieraz życzliwość i wyrozumiałość naszego wychowawcy. Wydarzeń świadczących o tej wyrozumiałości było zapewne sporo. Ze zrozumiałych względów najlepiej pamiętam swoje własne przygody z panem Markiem.

Kiedyś udaliśmy się z moim serdecznym kolegą Markiem Grochowskim na węgry. Umówiliśmy się do kina z dziewczynami, z Marysią Filipek i chyba z Iwoną Byczkowską. Węgry okazały się całkiem nieudane. Dziewczyny nie przyszły do kina. Poszły po prostu na lekcje. Pogoda była zdaje się taka sobie. Na do-datek, jak to się mówi, sprawa się rypla.

Zachowaliśmy się mało rozsądnie, bo w porze, w której nasza klasa kończyła lekcje udaliśmy się w pobliże szkoły. Chcieliśmy zobaczyć się z koleżankami, które nawaliły, żeby rzecz całą wyjaśnić. Nie byliśmy na tyle głupi, żeby kręcić się tuż pod drzwiami szkoły. Staliśmy na rogu Nowowiejskiej i Alei Niepodległości, ale ktoś z grona nauczycieli musiał nas jednak zobaczyć, bo następnego dnia mieliśmy obaj rozmowę z panem Markiem. Rozmowa była jednak utrzymana w duchu ojcowsko-koleżeńskim i nie miało to żadnych dalszych konsekwencji. Innym razem przyszliśmy w kilku na zabawę szkolną wypiwszy przedtem dla lepszego nastroju nieco wina. Traf chciał, że nasz wychowawca miał do mnie jakąś sprawę i zaczął ze mną rozmawiać. A że był tłok w szatni, stał dość blisko. Robiłem, co mogłem. Odwracałem głowę, wciągałem głęboko powietrze, żeby nie chuchać na pana Marka. On jednak zorientował się, pogroził mi palcem i powiedział „Niech cię tylko dyrektor nie przyłapie!”. Bardzo dobrze spisywał się nasz wychowawca na wycieczce pomaturalnej, ale o tym w swoim czasie. Spotykałem go potem, już jako dorosły człowiek parokrotnie na przystanku na rogu Odyńca i Wołoskiej. Kiedyś byłem nawet u niego w mieszkaniu. Mieszkał gdzieś na Wierzbnie i miał do mnie sprawę w związku ze studiami swojej córki. Wiem, że życie miał niełatwe. Żona jego ciężko i długo chorowała. Potem umarła i zostawiła go samego chyba z dwojgiem dorastających już dzieci. Mimo to pan Marek zachował, jak na swo-

je lata, zupełnie dobrą formę. Był w kwietniu 2005 na naszym spotkaniu, to znaczy na spotkaniu wychowanków klasy XI A z rocznika maturalnego 1958 i trzymał się bardzo dobrze. Ktoś z moich obecnych znajomych oglądając zdjęcia z tego spotkania sądził, że to jeden z naszych kolegów, a musi być od nas starszy o przynajmniej 10 lat. Niestety, kiedy przygotowuję ten tekst do zaprezentowania Wam na naszej stronie, pan Zdzisław Marek już go nie przeczytał. I nie przyjdzie już na żadne z kolejnych spotkań naszej klasy. Pożegnaliśmy Go na zawsze.

Część 2

Wicedyrektorką Liceum im. Gotfaldy była pani Irena Piekut, chemiczka. Ciemna brunetka, niezbyt wysoka, ale nie mała. Była to osoba bardzo żywa i zapewne bardzo aktywna. Często na przerwach widywało się ją biegnącą gdzieś za jakimiś sprawami. Wiem, że po odejściu pana Wojciechowskiego na emeryturę to ona została dyrektorką Liceum. Chemii uczyła dobrze i później na studiach nie miałem kłopotów z tym przedmiotem. Pani Piekut poprosiła mnie kiedyś do swojego pokoju. O ile pamiętam, chciała przeze mnie coś przekazać klasie. Było to przed klasówką z fizyki i miałem na wewnętrznej stronie lewej dłoni wypisaną ściągę. Jakoś to zauważyła w trakcie rozmowy. Pokiwała z politowaniem głową mówiąc coś w rodzaju „oj, dzieci, dzieci” i kazała mi umyć ręce. Nie jest wykluczo-

ne, że to pani Piekutowa była główną sprężyną przekształcenia dwóch głupich incydentów, jakie zdarzyły się w naszej klasie w sprawy polityczne.

Pierwszy z tych incydentów miał miejsce w czasie wyjątkowo rozbrykanej przerwy. Trwała jakaś bitwa między grupami chłopców, a może i w układzie każdy przeciw każdemu i w pewnym momencie któryś z chłopców rzucił nogą od połamanego krzesła. Rzucił nieszczęśliwie i trafił w wiszące na frontowej ścianie klasy godło państwowe. Biedny orzeł, wówczas jeszcze bez korony, spadł, szkło się potłukło, ramka się połamała i nie dało się sprawy ukryć. Rzeczywiście, rozróżba przekroczyła dopuszczalne granice i z pewnością nie wolno było rzucać nogą od krzesła, bo mogła ona trafić na przykład kogoś w głowę. Jednak afera, jaka się z tej okazji rozpełtała, była do wydarzenia niewspółmierna. W centrum uwagi znalazło się nie to, że ktoś rzucił niebezpiecznym przedmiotem, ale to, że rzucił w godło państwowe. Pani Piekutowa wraz z naszym wychowawcą (cóż miał robić, biedny człowiek, kiedy dyrekcja kazała!) prowadzili regularne śledztwo w celu ujawnienia sprawcy. Oczywiście, wszyscy wiedzieli, kto wykonał ten nieszczęsny rzut, ale nikt nie powiedział. Trzymaliśmy się twardo wersji, że było ogólne zamieszanie i nikt nie zauważył, czyja ręka ujęła tę nogę od krzesła i niefortunnie skierowała ją w orła białego. Oczywiście, wszyscy też zapewnialiśmy, że ktokolwiek to był, nie miał intencji trafienia w godło.

Dziś już nie pamiętam, kto był sprawcą tego wydarzenia, dobrze jednak pamiętam całe zamieszanie i robioną wokół niego atmosferę polityczną.

Drugie wydarzenie musiało mieć miejsce w maju 1957 roku. Pamiętam, że byliśmy wtedy w X klasie i że były matury. Wielu nauczycieli zajętych było przy maturach i w niższych klasach lekcje często się nie odbywały. Czasem wpadał do nas ktoś z grona pedagogicznego i zadawał nam jakąś robotę, czasem zaś po prostu bałaganiliśmy przez całe lekcje. Pogoda była piękna i ktoś zaproponował wyjście na spacer. Wyszliśmy przed budynek szkolny, a potem ruszyliśmy gęsiego Nowowiejską i Krzywickiego w stronę Filtrowej. Przeszliśmy tak tą gęsią procesją przez Filtrową i skierowaliśmy się w stronę Wawelskiej. Być może, wybieraliśmy się pod Liceum im. Słowackiego? – tego już nie pamiętam. Nawet nie wiedziałem, że na Krzywickiego mieści się ambasada państwa Izrael, przed którą przededefilowaliśmy gwarnie, ale nie wznosząc żadnych antysemitkich okrzyków. Tymczasem nasz niewinny spacer został potraktowany jako demonstracja polityczna. Znów było śledztwo. Kto był inspiratorem, kto prowadził ten marsz protestacyjny itp. itd. O ile pamiętam, tym razem jednak dyrekcja szkoły dała się prędko przekonać, że po prostu z nudów wybraliśmy się na wycieczkę bez jakichkolwiek innych podtekstów. Szczerze mówiąc, nie pamiętam, czy to rzeczywiście pani Piekutowa była głównym inspek-

torem śledczym w obu tych sprawach. Zupełnie jednak nie kojarzę z tym pana Wojciechowskiego, a przecież ktoś z dyrekcji musiał grać pierwsze skrzypce w tej orkiestrze.

Wspomnienia o nauczycielach z Gottwalda rozpocząłem, jak się należy, od dyrekcji i od wychowawcy. Tak się składa, że dyrekcja uczyła nas matematyki i chemii. Konsekwentnie więc skończyłem już przedmioty ścisłe. Jest to tym bardziej zasadne, że w późniejszych czasach XIV Liceum Ogólnokształcące, już imienia Stanisława Staszica stało się klasyczną szkołą matematyczno-fizyczną. Jak to dobrze, że nie za moich uczniowskich czasów tak było!

Nauczycielem fizyki w naszej klasie był pan Zawalij. Fizycznie był typem przypominającym nieco znanego aktora Louisa de Funes. Nieduży, ruchliwy, o wyrazistej twarzy. Niestety, nie miał w sobie nic z komizmu tego aktora. Przeciwnie, był postrachem uczniów. Był bardzo surowy i bardzo wymagający. Dla mnie było to szczególnie niewygodne, bo talentem fizycznym nie byłem nigdy. Pamiętam, że przez jakiś czas nawet próbowałem odrabiać lekcje wspólnie z Wojtkiem Walczakiem, który był znacznie ode mnie lepszy w te klocki, a ponadto miał starszego brata, który był studentem jakiejś uczelni technicznej. Jakoś jednak utrzymywałem się na powierzchni i nigdy nie byłem zagrożony z fizyki. Nawet uzyskałem ocenę dobrą na świadectwie maturalnym, ale o tym za moment.

W każdym razie, podobnie jak ja, większość moich koleżanek i kolegów szła na lekcje do pracowni fizycznej z duszą na ramieniu, a w samej pracowni z pewnością panował intensywny zapach strachu i atmosfera grozy. Myślę, że wielu pedagogów oburzyłoby się na to. W końcu sam byłem nauczycielem akademickim przez ponad 40 lat i wiem, że nie powinno się stwarzać takiej atmosfery. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość panu Zawalijowi i stwierdzić, że potrafił nas zmusić do pracy. Dziś, kiedy już nie przeżywam tak intensywnie uczucia zagrożenia, przyznaję, że był jednym z lepszych nauczycieli w szkole.

Z panem Zawalijem kojarzą mi się dwa wydarzenia. Po pierwsze, nie mogę mu jednak zapomnieć absolutnie niesprawiedliwie oberwanej dwóki. Zostałem kiedyś wyrwany do tablicy, w celu wyjaśnienia, w jaki sposób budowa skrzydła samolotu jest związana z jego zdolnością do latania. Byłem szczęśliwy, bo akurat czułem się dobrze przygotowany do odpowiedzi. Wyrysowałem na tablicy prawidłowo nachylony płat skrzydła i wektory działających na niego sił z wypadkową siły wznoszenia. Ukończywszy pomyślnie rysunek byłem już pewien dobrej oceny. Wypowiedź zacząłem od zdania (doskonale to pamiętam!) „Działa to na zasadzie latawca”. I w tym momencie usłyszałem – „Siadaj, dwójka, nie ma takiej zasady!”. Może jednak rzeczywiście pan Zawalij był dobrym fizykiem, ale gorszym pedagogiem? Pan Zawalij wahał się, czy może

postawić mi z fizyki czwórkę na świadectwie maturalnym. Rozmawiał ze mną na ten temat i ostatecznie zdecydował się na ten ryzykowny krok w wyniku dwóch argumentów. Po pierwsze, trójka z fizyki byłaby jedyną trójką na moim świadectwie. A po drugie, w rozmowie z panem Zawalijem w najlepszej wierze oświadczyłem, że na wybranych przez siebie studiach (ogrodnictwo) nie będę miał nic do czynienia z fizyką. Tymczasem okazało się, że na pierwszym roku studiów były dość trudne zajęcia z fizyki. Dzięki trudowi pana Zawalija włożonemu w nabicie mojej głowy wiedzą fizyczną i dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, egzamin z fizyki zdałem na piątkę. Tak się złożyło, że wkrótce potem spotkałem pana Zawalija na przystanku tramwajowym i w rozmowie wyznałem mu, że jednak miałem zajęcia z fizyki. „No i co?” – zapytał przerażony swoją nieodpowiedzialną decyzją (ta czwórka na świadectwie!) mój nauczyciel. A ja spokojnie odparłem, że dostałem piątkę z egzaminu. „Jak to jest możliwe?!” – nie mógł wyjść ze zdziwienia zaskoczony pan Zawalij. Uspokoił się jednak prędko przekonawszy się, że jego reputacja jako nauczyciela fizyki nie doznała uszczerbku.

Tyle o nauczycielach nauk ścisłych. Dla kontrastu zajmijmy się teraz językiem polskim. Z tym było różnie. Nauczycielki zmieniały się, choć nazwiska wszystkich trzech zaczynały się na literę G. Jakoś zatarła mi się w pamięci treść nauczania języka ojczystego w klasie

ósmej, kiedy to nauczycielką naszą była pani Gajewska. Była to starsza, siwa pani, zapewne w następnym roku odeszła już na emeryturę, bo przejęła nas kolejna osoba. Zapamiętałem tylko tyle, że pani Gajewska kładła duży nacisk na gramatykę. Pamiętam, że dawała nam do rozbioru logicznego różne nietypowe zdania. Dwa przykłady przypominam sobie dokładnie, bo pochodziły z „Ogniem i mieczem”. „Czterdzieści armat ryknęło jednym głosem” – gdzie tu jest podmiot? „Pana Longina i małego rycerza nie było między wracającymi” – a gdzie tu jest podmiot? Była to porządna, solidna nauczycielka, może już trochę zmęczona latami nauczania?

Pani G., która przejęła nas w IX klasie nie była ani porządna, ani solidna. Chyba została zresztą rozpoznana jako osoba niekompetentna i szkoła się z nią rozstała, bo nie pamiętam, bym widywał ją później, a nie była ani w wieku emerytalnym, ani w takim, kiedy korzysta się z urlopów macierzyńskich. Nazwisko pamiętam, ale nie podam zgodnie z przyjętą w tych zapiskach zasadą, że w pewnych przypadkach „nomina sunt odiosa”. Jej sposób bycia kojarzył się z tytułem jednej z wczesnych rozprawek wydanych po polsku (przekład Jana z Koszyczek z łaciny) o „Marcholcie grubym i sprośnym”. Tyle, że była to osoba raczej rubaszna niż sprytna. Nie potrafiła skłonić nas do polubienia wczesnej literatury polskiej i może dlatego dla mnie polska literatura zaczyna się od romantyków. Nie uznaję nawet

Jana z Czarnolasu mimo jego mistrzowskich czasem fraszek, wzruszających „Trenów” i „Odprawy posłów greckich”. Pani G. nie umiała nawet mówić po polsku. Kiedyś, mówiąc coś o organiście użyła w dopełniaczu formy „organistego”. Oczywiście, można się z rozpędu przejęzyczyć. Ktoś jednak nieśmiało zwrócił jej uwagę, że mówi się „organisty”. I tu dopiero powstał problem. Pani G., zamiast przeprosić za popełnioną w ferworze wykładu pomyłkę językową, rozpoczęła kłótnię z całą już klasą, że mówi się właśnie „organistego”. Jak to napisał Mark Twain „spuśćmy zasłonę miłosierdzia na dalszy ciąg tej sceny”.

Doskonałą polonistką była natomiast pani Hanna Gosiewska, która na szczęście uczyła nas w dwóch ostatnich klasach. Pani Gosiewska przede wszystkim wdrożyła nas do formułowania swoich myśli na piśmie, każąc zawsze sporządzać coś, co nazywało się „notatką z lekcji”. Był to zapis jej wykładu, czy dyskusji na temat, jaki omawiany był na lekcji. Zapewne przygotowało to nas również do notowania treści wykładów w czasach studenckich. Na kolejnej lekcji ktoś losowo wyrwany do odpowiedzi odczytywał swoją notatkę i był za nią oceniany. Pani Gosiewska, w przeciwieństwie do znanego historyka profesora Gąsowskiego, nie miała żadnego systemu odpytowania, a przynajmniej w naszej X klasie nie było żadnego szatana, który by ten system rozszyfrował, nigdy więc nie było wiadomo, na kogo przyjdzie kolej. Ponad-

to, w czasie kolejnej lekcji pani Gosiewska przechadzając się po klasie widziała wszystkie zeszyty i była w stanie sprawdzić, czy wszyscy notatkę sporządzili. Często też zadawała nam wypracowania do napisania w domu, nie mówiąc o różnych klasówkach. Wszystko to wdrażało nas do pisania. Literaturę znała i umiała ją w interesujący sposób przedstawić. Po polsku mówiła doskonale i w ogóle była świetną nauczycielką. Była to wysoka, postawna kobieta, z sylwetki trochę może podobna do Beaty Tyszkiewicz, jeszcze dość młoda. Miała tylko nieprzyjemne spojrzenie bazyliuszka, zwłaszcza kiedy wpatrywała się w ucznia, który bezskutecznie próbował znaleźć właściwą odpowiedź i bąkał coś bez sensu. Czasem też nie powstrzymywała się od ironicznych uwag, na przykład na temat „spodzienek” Wojtka Szemetyły, który rzeczywiście nosił wtedy wąskie spodnie – pani Gosiewska porównywała je z ciasnotą horyzontów myślowych tego naszego kolegi. Z kontaktów z nią i z nauką polskiego w jej wykonaniu w pamięć zapadły mi trzy wydarzenia, których byłem bohaterem.

Kiedyś oddała mi klasówkę z adnotacją „Treść bardzo dobra, interpunkcja niedostateczna” i ocena 2+. W pracy brakowało około dwudziestu przecinków. Miałem żal za tę ocenę, dziś jednak myślę, że była to udana próba przywołania mnie do porządku i zwrócenia mojej uwagi na rolę przecinka w zdaniu. Drugie wydarzenie miało miejsce już w maturalnej klasie. Mieliśmy przygotować się do

lekcji o Marii Konopnickiej i pani Gosiewska odpytywała nas z życiorysu tej pisarki. Kilkoro uczniów kolejno opowiadało fragmenty tej biografii. Ja się specjalnie nie niepokoilem, bo z reguły nie byłem w takich okolicznościach pytany. Pani Gosiewska miała o moich umiejętnościach polonistycznych dobrą opinię. Poza tym zdawałem sobie sprawę, że opowieść zbliża się do końca biografii poetki. Zdążyłem się właśnie już całkiem odprężyć, kiedy pani Gosiewska przerwała wypowiedź kolegi i poprosiła mnie o kontynuację. Szczerze mówiąc, nie bardzo byłem przygotowany. Wstałem i zacząłem coś bąkać na temat, że już niewiele jest do powiedzenia i właściwie nic się już nie zdarzyło interesującego w życiu Marii Konopnickiej. Pani Gosiewska przyznała mi rację, ale powiedziała, że coś jeszcze przecież ważnego napisała i domagała się tytułu tego utworu. Rozpaczliwie próbowałem sobie przypomnieć, co ta cholerna baba mogła jeszcze napisać, kiedy mój sąsiad z ławki, Marek Grochowski, ulitował się nade mną i szeptem podrzucił mi tytuł „Pan Balcer w Brazylii”. Widocznie zrozumiałem podpowiedź niedokładnie i gromkim głosem na całą klasę oświadczyłem, że tytuł tego utworu brzmi „Pan Marcel w Brazylii”. Koledzy pokładali się ze śmiechu, a pani Gosiewska miała tyle wiary w moją wiedzę polonistyczną, że błędu nie zauważyła i to dopiero było śmieszne. Trzecim wydarzeniem było to, że właściwie wydarzenia nie było. Dostaliśmy jako pracę domową do napisania wypracowanie, w którym mieliśmy usto-

sunkować się do decyzji doktora Judyma odrzucenia miłości i szczęścia z Joasią na rzecz samotnej, heroicznej walki o poprawę warunków w uzdrowisku. Bardzo się tym tematem przejąłem i chyba w żadne wypracowanie nie włożyłem tyle pracy i tyle serca, ile w to właśnie. Byłem w tym wieku, kiedy jest się podatnym na mało jeszcze osobiście poznane kwestie uczuć damsko-męskich, byłem zresztą aktualnie mocno zakochany w Ewie z Tczewa, o czym będzie później. Napisałem płomienny elaborat odsądzający doktora Judyma od czci i wiary. Myślą przewodnią mojego wypracowania było to, że Judym będzie nieszczęśliwy bez Joasi, a człowiek nieszczęśliwy nie nadaje się do uszczęśliwiania innych ludzi i nie jest w stanie rzeczywiście pracować dla dobra innych, bo prędzej czy później popadnie we frustrację i apatię. Nie bardzo też rozumiałem, dlaczego doktor Judym uważa, że nie ma prawa w swoje pełne przewidywanej walki życie angażować kochanej i kochającej go kobiety. Znacznie już później czytałem powieść „Cytadela” autorstwa Archibalda J. Cronina. Jej bohater, doktor Andrzej Manson nie waha się dzielić swych wysiłków z żoną Krystyną. Wszystko to po dwóch, czy nawet trzech dniach rozmyślań rozwinąłem na kilku stronach tekstu i bardzo chciałem się tym wypracowaniem pochwalić i przed panią Gosiewską i przed klasą. A tymczasem moja praca nie została nawet przeczytana!

Część 3

Biologii uczyła pani Brzegowa. Była to nauczycielka jeszcze dość młoda, sprawiająca wrażenie jakby stremowanej, czy wręcz załęknionej. Niewielkiego wzrostu, dość szczupła, ale nie przesadnie, chyba ciemna blondynka. Osoba rzeczywiście chyba nieśmiała z natury. Biologię znała jednak bardzo dobrze i była spokojną, poprawną nauczycielką. Nauczyła nas obchodzić się z mikroskopem, a pracownia biologiczna była wyposażona w różnego rodzaju eksponaty i preparaty pozwalające poznać budowę różnych organizmów, czy, na przykład, szkieletów różnych kręgowców. Biologii nauczyła mnie bardzo dobrze i wiedza ta przydaje mi się do dziś. Jako uczeń miałem u niej dobrą opinię i wiele razy zdarzało się, że kazała mi odpowiadać na pytanie, na które kilku moich kolegów wcześniej zapytanych nie umiało odpowiedzieć. Myślę, że klasa zapamiętała ją jako osobę trochę bezbarwną, ale była to bardzo dobra nauczycielka.

Geografii nauczyliśmy się tylko przez 3 lata, podobnie jak chemii. Nazwiska nauczycielki nie pamiętam. Była to niemłoda już pani, średniego wzrostu i średniej tuszy o czarnych (może farbowanych?) włosach i trochę lalkowatej twarzy. Niewiele umiem o niej powiedzieć. Może powinienem być bardziej zainteresować się tym przedmiotem, choćby z tej racji, że mój dziadek Szymański nauczał geografii. Wiadomości z tego przedmiotu jednak mam, a przynajmniej

wiem, gdzie czego szukać na mapie. Słabiej przyswoiłem sobie natomiast wiedzę geologiczną i geografii gospodarczą. Pamiętam chyba też, że w okresie matur, kiedy inni nauczyciele byli bardzo zajęci, to właśnie pani od geografii najczęściej do nas zaglądała. Widocznie ten przedmiot zdawało stosunkowo niewielu uczniów.

Podobna nieco w typie, choć raczej z sylwetki i koloru włosów, a nie z twarzy, była nauczycielka francuskiego, pani Janicka. Ona z pewnością miała farbowane włosy, natomiast jej twarz w najmniejszym stopniu nie przypominała twarzy lalki. Powiedziałbym, że wyglądała jak typowa starsza Francuzka. Nauczyła nas sporo i może nauczyłaby nas więcej, gdyby nie obowiązujące wówczas podręczniki, w których było sporo tekstów typu życiorys Maurice Thoreza, sekretarza Francuskiej Partii Komunistycznej. Pani Janicka uczyła francuskiego również w Liceum im. Słowackiego i zawsze dawała te same tematy na klasówkach tu i tam. Nie wiem kto i jak się w tym zorientował, ale od jakiegoś czasu korzystaliśmy z tego albo my, albo koledzy ze Słowackiego, w zależności od tego, gdzie wcześniej wypadła klasówka. Ciekaw jestem, czy pani Janicka nie zdawała sobie rzeczywiście z tego sprawy, czy też po prostu przymykała na to oczy? Ja francuskiego w każdym razie nauczyłem się bardzo dobrze jak na tamte lata, kiedy nauka zachodnich języków nie była tak powszechna jak teraz. Jako student byłem we

Francji i radziłem sobie zupełnie dobrze jeśli chodzi o komunikowanie się z ludźmi. Duża w tym wprawdzie zasługa późniejszej nauki na lektoracie, pod okiem pani Maksimow, ale dobre podstawy wyniosłem z pewnością ze szkoły. Jedną z naszych koleżanek, Iwona Badowska (Byczkowska) jest dziś tłumaczką z francuskiego.

Rosyjskiego uczyła najpierw pani Suchodołowa. Była to dość młoda jeszcze nauczycielka, ale bardzo sroga. Jasna blondynka, chyba tleniona (?), szczupła o ostrych rysach twarzy. Ubierała się dość jaskrawo jak na tamte czasy, często w coś wyraźnie czerwonego. Bali się jej wszyscy. Uczyła nas chyba tylko w ósmej klasie, może przez część dziewiątej? Chyba poszła na urlop macierzyński, albo po prostu przeniosła się do innej szkoły. Nauczanie rosyjskiego przejął starszy pan. Nazywał się chyba Lewandowski. Był to rzeczywiście już starszy, siwy pan o mocno przerzedzonych włosach i wyglądający jak człowiek schorowany. Miał cichy głos, nie umiał poskromić bandy rozbrykanych młodych ludzi i miewał kłopoty z utrzymaniem porządku na lekcjach.

Znacznie jednak większe z tym kłopoty miała nauczycielka rysunku. Wynikało to po części z jej nieudolności, a po części z charakteru przedmiotu. O ile na innych lekcjach albo nauczyciel wykladał, albo pytał i samo to utrzymywało uwagę uczniów na przedmiocie lekcji, o tyle na lekcjach rysunku coś się po prostu rysowało

po krótkich objaśnieniach pani. Kiedyś, na przykład, posadziła na stoliku klasową piękność, Teresę Domaszewską, dziewczynę o naprawdę klasycznej urodzie i kazała ją rysować. Nazwiska pani od rysunku nie pamiętam. Była to osoba starsza, bardzo nieporadna. Na lekcjach rysunku wielu uczniów spacerowało swobodnie po klasie, wielu głośno rozmawiało, jeszcze inni strzelali z gumek, a czasem dochodziło do takiego nieporządku, że aż pojawiał się pan dyrektor Wojciechowski i zaprowadzał ład. Dziś czuję, że zachowywaliśmy się ordynarnie wykorzystując wrodzoną łagodność i niezaradność tej pani. Młodzież jednak taka bywa – nieświadoma i bezwzględna.

Przez rok, a może i dłużej uczylimy się przysposobienia wojskowego. Wdrożyć do wojskowej dyscypliny usiłował nas pan Markowski, zapewne jakiś emerytowany oficer. Dyscyplina miała polegać m.in. na tym, że kartki w zeszytach do PW były ponumerowane i nie wolno ich było wrywać. Przecież ktoś z nas mógłby przekazać imperialistycznemu wywiadowi cenne tajemnice wojskowe, jakie powierzał nam pan Markowski – na przykład, że para kroków dorosłego człowieka to 1,5 metra, albo jak obliczyć wysokość jakiegoś obiektu znając odległość do niego oraz wysokość i odległość do obiektu porównawczego, na przykład człowieka (trójkąty podobne). Pan Markowski lubił też śledzić nas w czasie pisania sprawdzianów. Wyjmował z kieszeni małe lusterko, odwracał się do

nas tyłem i udawał, że coś sobie robi przy twarzy, a tymczasem po prostu nas śledził. Opowiadał też mrożące krew w żyłach historie o tym, jak żołnierz zastrzelił się z własnego peemu w czasie jazdy na ciężarówce dlatego, że nie zabezpieczył zamka. Samochód podskoczył na wyboju, podskoczył również zamek, a to uruchamia całą serię. Byliśmy kiedyś na strzelnicy na Siekierkach i miałem okazję przekonać się, że dość celnie strzelam z kbk, choć z lewego ramienia. Moje prawe oko jest do niczego.

Nauczycielem wychowania fizycznego był pan Ciszewski. Podobno przed wojną grywał w reprezentacji Polski w piłkę nożną. Miał już swoje lata, ale był w bardzo dobrej kondycji. Szczupły, niezbyt wysoki, zawsze w bordowym dresie. Kiedy ćwiczyliśmy w sali na przyrządach miał poważną wyrękę w Krzysiu Piętaku, naszym koledze, który należał do prawdziwej sportowej sekcji gimnastycznej, zdobywał tytuły mistrzowskie na zawodach i zawsze był w stanie pokazać, jak wykonuje się skok przez skrzynię, czy inne ćwiczenie. Kiedy tylko było można wychodziliśmy na boisko i albo graliśmy w piłkę nożną, albo ćwiczyliśmy różne konkurencje lekkoatletyczne. Mieliśmy w klasie kilku szybko biegających chłopców i na wewnętrznych zawodach szkolnych nasze dwie sztafety 4x100 zajęły oba pierwsze miejsca. Ja biegłem na ostatniej zmianie w drugiej naszej sztafecie i choć dostałem pałeczkę jako trzeci, a na dodatek kolega wetknął mi ją pod pa-

chę, udało mi się wyciągnąć sztafetę na drugie miejsce.

Bardzo dużo czasu na lekcjach w pan Ciszewski poświęcał (ku naszemu zresztą zadowoleniu) na grę w piłkę nożną. Nie wiem, czy właśnie dlatego aż trzech naszych kolegów (Piotrek Klimaszewski, Jurek Podolecki i Zbyszek Sobiecki) grywało potem w klubach piłkarskich. Talent piłkarski okazywał również Wojtek Walczak, a świetnym bramkarzem był nasz gimnastyk, Krzysio Pięta. Ja natomiast piłkarzem byłem nienajlepszym i rzadko grywałem w pierwszej jedenastce klasowej. Kiedyś na lekcji w stojąc w bramce zhańbiłem się tym, że przepuściłem między nogami piłkę, która wolno toczyła się do bramki po ziemi. Innym razem na wycieczce w Młocinach zaprzepąściłem pewną bramkę. Udało nam się we trójkę przedrzeć przez obronę drużyny przeciwnej. Zmierzałem od lewego skrzydła z piłką do bramki, ale przestraszyłem się, że mogę nie trafić, albo bramkarz obroni i w ostatniej chwili podałem na prawo, gdzie biegło dwóch moich kolegów, bardzo dobrych piłkarzy. Tyle, że podałem niecelnie i za ostro i żaden z nich nie miał szansy tego podania przechwycić. Pan Ciszewski najwyraźniej kochał piłkę nożną, ale miewał swoisty stosunek do przepisów gry. Kiedyś na lekcji zdarzyło się, że Tadek Hertz dostał takie niewygodne, półgórne podanie, ale jakoś sięgnął piłki nogą i kropnął z woleja na bramkę. Był to strzał prawie jak Kazimierza Dejny z podania Kaspercza na me-

czu z Haiti w finałach Mistrzostw Świata w 1974 roku. Tylko, że piłka po strzale Dejny z pewnością wpadła do bramki, a po strzale Tadeka Hertza, nie wiadomo, bo na szkolnym boisku nie było bramek. Stawiało się po prostu dwa kamienie. Panu Ciszewskiemu, który mecz sędziował, strzał jednak tak się podobał, że bez wahania pokazał na środek boiska. Innym razem na meczu z klasą X C, kiedy akurat grałem w klasowej jedenastce, pan Ciszewski usunął mnie z boiska na 3 minuty (jak w hokeju) za faul. Faul był oczywisty i brzydki. Złożyłem haka przeciwnikowi, którego nie byłem w stanie dogonić, a który zmierzał już prosto do naszej bramki. Stan meczu był wówczas 1:1, a klasa X C była naszym najgroźniejszym rywalem w szkolnych rozgrywkach. Uznałem, że trzeba sfaulować. Mecz wygraliśmy 2:1, więc decyzja moja była praktycznie słuszna, choć zachowanie niesportowe. Decyzję pana Ciszewskiego w pełni rozumiem. Nie mogę natomiast panu Ciszewskiemu zapomnieć tego, jak zepsuł świadectwo maturalne Jasiowi Wojciechowskiemu. Podobnie jak w moim przypadku z fizyką, trójka z wufu byłaby jedyną trójką na świadectwie maturalnym Janka. Prawdą jest, że Jasio był misiowaty, kiepsko radził sobie z wszelkimi gramami sportowymi, miał kiepskie wyniki lekkoatletyczne i beznadziejnie wykonywał wszelkie ćwiczenia gimnastyczne. Widać było jednak, że się stara, że to nie brak chęci, ale fizyczna niemożność. Janek był bardzo dobry z przedmiotów ścisłych (pracował do niedawna na Politechnice

Warszawskiej jako nauczyciel akademicki) i dobry z humanistyki. Na świadectwie maturalnym miał tylko jedną tróję, właśnie z wf. Podobno cała Rada Pedagogiczna prosiła pana Ciszewskiego o zmianę decyzji i zmianę tej oceny na dobrą. Nie ugiął się. Cóż, miał prawo.

XIV Liceum Ogólnokształcące im. Klementa Gottwalda było już wówczas bardzo dobrą szkołą. Widać już było zadatki na wyróżniające się liceum o profilu matematyczno-fizycznym. Do szkoły przyszedł nowy fizyk, pan Kamiński, który nas nie uczył, ale postawił fizykę w szkole na wybitnym poziomie. Przedmioty humanistyczne też były dobrze prowadzone. Pani Gosiewska była doskonałą polonistką, a oprócz naszego wychowawcy historii w szkole nauczała pani Pietkiewicz, podobno doskonała nauczycielka. Pan Zdzisław Marek też zresztą się później wyrobił, a lubiany był zawsze. Dziś XIV Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Staszica należy do czołówki szkół warszawskich. Ale i za naszych szkolnych czasów poziom był wysoki. Wystarczy przejrzeć biogramy absolwentów klasy XI A na naszej witrynie internetowej. Prawie wszyscy dostali się na studia i skończyli je, a spora grupa moich kolegów i koleżanek to ludzie sukcesu, jak można by ich dzisiaj nazwać. A są w tej grupie tacy, którzy w czasach licealnych uważani byli za dość przeciętnych uczniów.

Część 4

Nie będę pisał o wszystkich. Nie zdołałem poznać wszystkich na tyle, by coś o każdym napisać. Przez klasę przewinęło się przecież sporo ludzi. Niektórzy zostali na drugi rok w ósmej lub dziewiątej klasie, inni przenieśli się do innych szkół, czy nawet innych miast. Na wspomnianej już witrynie internetowej staraliśmy się zebrać możliwie wszystkie nazwiska, nawet Andrzeja (?) Szydlika, który był naszym kolegą chyba przez jedno tylko półrocze, a i to w szkole pokazywał się sporadycznie. Był to interesujący typ. Ciągłe wagarował, a tłumaczył się albo tym, że babcia mu umarła, albo tym, że wpadł do przerębla, albo innymi jakimiś ekstra przyczynami. W żadnej szkole nie zagrzebał długo miejsca, a i przez naszą klasę przemknął na tyle niezauważony, że nie jesteśmy nawet pewni, jak miał na imię. To był wyjątek, ale było więcej takich kolegów, którzy w klasie byli rok lub dwa lata. Zapamiętany przeze mnie skład, to pewnie skład z dwóch ostatnich lat – 11 dziewcząt i 22 chłopców. Pamiętam nawet, gdzie większość z nich siedziała, choć akurat nie mogę sobie przypomnieć, kto siedział z Marcinem Willmanem jedną ławkę przede mną. Siedziałem w samym kącie, w ostatniej ławce przy ścianie, w której były drzwi wejściowe do klasy. Ze mną siedział mój serdeczny wówczas przyjaciel Marek Grochowski. Przed nami Marcin Willman z kimś, kogo nie mogę sobie przypomnieć. Dalej Wojtek Walczak z Piotrkim Klimaszewskim,

a przed nimi Jurek Podolecki ze Zbyskiem Sobieckim. Na pierwszej ławce w tym rzędzie siedział Marek Kozłowski nie pamiętam z kim. W rzędzie ławek przy oknach, w kącie w ostatniej ławce siedział Janek Wojciechowski chyba z Jurkiem Fiszdonom, a przed nimi Jurek Harasimowicz z Tadeuszem Hertzem. Ławkę przed nimi siedział Maciek Małecki chyba z Antosiem Polem, a przed nimi Marek Pałys z Markiem Witkowskim. Były tam jeszcze dwie ławki chłopców z przodu. Dziewczeta zajmowały środkowy rząd ławek. Gdzieś z przodu siedziała Teresa Domaszewska być może z Anią Pełką, potem Marysia Filipek z Teresą Szymańską. W trzeciej ławce siedziała Basia Lichoń z Iwoną Byczkowską, a dalej nie pamiętam już w jakim układzie Jola Hornziel, Krysia Frenkiel, Bożena Gościński, Ewa Malczewska i Dzidka Foryś.

Ale byli i inni ludzie. Niestety, krótko z nami zabawiał Karol Bakałasz, mój serdeczny przyjaciel od piątej klasy podstawówki. Nie radził sobie z materiałem liceum i został na drugi rok w ósmej klasie. Stosunki siłą rzeczy rozluźniły się. Zresztą zaraz potem rodzina Karola wyjechała do Izraela. Początkowo korespondowaliśmy ze sobą, potem kontakt ten urwał się na długie lata. Karol został lotnikiem i brał udział w wojnach z Arabami. Jakiś czas temu Karol uzyskał skądś mój adres i kontakt został wznowiony. Ma żonę Sarę i dwoje dzieci. Pracuje w jakimś instytucie w obsłudze technicznej mikroskopów elektronowych. Był nawet kilka

lat temu w interesach w Polsce, ale byłem wówczas na wakacjach i nie zdołaliśmy się spotkać. Kontakty obecnie są luźne i sporadyczne.

Po utracie Karola Bakałusza na krótki czas zbliżyłem się z Ryśkiem Orłowskim. Był to dość dziwny chłopiec. Bardzo zdolny, a ciągle obrywał dwóje, bo po prostu albo się nie uczył, albo nawet nie miał ochoty odpowiadać na pytania zadawane przez nauczycieli. Tuż przed ukończeniem ósmej klasy miał prawie same dwóje z wielu przedmiotów. Nie wiem, czy to na jego prośbę, czy też na prośbę wychowującej go ciotki nauczyciele zgodzili się dać mu szansę. Rysiek zdawał przed końcem roku egzaminy ze wszystkich prawie przedmiotów i zdał! W dziewiątej klasie historia powtórzyła się – dwóje przez cały rok. Tym razem jednak grono pedagogiczne okazało się nieugięte i nie pozwoliło na poprawki pod koniec roku. Rysiek został na drugi rok w dziewiątej klasie. Fizycznie był też dość charakterystyczny. Wysoki, o grubo ciosanej sylwetce, chłopak o wyjątkowo jasnych ale rzadkich włosach, taki „świński blondyn”. Nie jestem pewien, jak to było z jego rodzicami. Chyba jednak oboje żyli, tyle że mieszkali gdzieś na prowincji, a życzyli sobie, by Rysiek uczęszczał do dobrej warszawskiej szkoły. Rysiek mieszkał więc u ciotki w Warszawie. Może jednak były inne jakieś tego przyczyny, których nie znam lub nie pamiętam. Zbliżyło nas zamiłowanie do jeżdżenia na rowerze i sympatia do francuskiej aktorki

Mariny Vlady. To chyba w tych właśnie czasach na ekranach naszych kin pokazał się film „Czarownica”, w którym Marina Vlady grała dziewczynę, którą ukamienowali sąsiedzi podejrzewający ją o czary. Doskonale pamiętam, jak kiedyś po drodze z Powsina do Wilnowa snuliśmy plany wyprawy do Paryża w celu zawarcia znajomości z naszą idolką. Pamiętam też, jak kiedyś spowodowaliśmy spore zwarcie w naszej domowej instalacji elektrycznej (w moim mieszkaniu). Efekt był taki, że nie tylko bezpiecznik się przepalił, ale ułamała mu się główka. Zapasowych wkładek nie było w domu, naprawa drucikiem nie wchodziła w grę, bo z powodu braku główki bezpiecznik nie zamykał obwodu. Tymczasem moja matka żądała naprawy bezpiecznika, bo zdaje się, spodziewała się gości na brydża. Wsadziliśmy więc w uszkodzoną wkładkę gruby, miedziany drut, z którego uformowaliśmy odpowiednią główkę i coś takiego wkręciliśmy w gniazdo bezpiecznika. Całe szczęście, tego wieczoru nie było już żadnych powodów do zadziałania bezpiecznika, a następnego dnia kupiłem wkładkę i wymieniałem niebezpieczny bezpiecznik. Stosunki z Ryśkiem rozluźniły się, kiedy został on na drugi rok w dziewiątej klasie. Wkrótce potem zginął w czasie szaleńczej jazdy na motorze. Był to z pewnością chłopiec niezrównoważony.

W drugiej połowie moich licealnych studiów moim serdecznym przyjacielem został Marek Grochowski. Wspominałem już, że siedzieliśmy razem na ostatniej

ławce. Marek był trochę lepszy ode mnie w naukach ścisłych i czasem pomagał mi trochę w problemach z matematyką, czy fizyką. Ja byłem lepszy w przedmiotach humanistycznych i w biologii i rewanżowałem mu się pomagając mu czasem napisać jakieś wypracowanie lub zrozumieć jakiś problem biologiczny. Obaj lubiliśmy czytać kryminały i uważaliśmy się za Sherlocka Holmesa (ja) i Herkulesa Poirot (Marek). Wymyślaliśmy jakieś problemy detektywistyczne, pisywaliśmy do siebie szyfrem i w ogóle byliśmy bardzo tajemniczy. Razem też uczyliśmy się grać w brydża, bo i moi i jego rodzice oddawali się tej grze z zapalem. Z Markiem i chyba z Marcinem Willmanem raczyliśmy się niezbyt uczciwie zdobytym winem lub miodem przed szkolnymi zabawami. Nieuczciwość w zdobywaniu tych trunków polegała na tym, że były one wykradane z piwnicy wujostwa Marcina. To z Markiem i z Marcinem postanowiliśmy też wspólnie przygotowywać się do matury z historii. Podzieliliśmy się tematami, każdy miał swoje przygotować i potem uczyć pozostałych. Po dwóch, czy trzech spotkaniach na szczęście jednak zrezygnowaliśmy z tego, bo prawie całe te spotkania schodziły nam na bałaganienie. Szczęśliwie dla mnie na jednym z tych spotkań zdążyłem się dowiedzieć nieco więcej o początkach pobytu Zakonu Krzyżackiego w Polsce. Pomogło mi to na maturze popisać się znajomością pewnych szczegółów, o których w szkole nie uczono, na przykład tym, że pierwszym Wielkim Mistrzem Zakonu po przeniesieniu do

Polski był niejaki Fryderyk von Salza. Wprowadziłem tym w podziw panią Gosiewską. Spotykaliśmy się u Marka, bo tak było wygodnie. Marek mieszkał tuż obok szkoły, w budynku na rogu Alei Niepodległości i Nowowiejskiej. Zgodnie ze znaną zasadą zdarzało mu się spóźniać do szkoły. Fizycznie Marek był średniego wzrostu, szczupłym szatynem z twarzą męczennika lub ofiermy. Kiedyś po szkolnej zabawie Marek stracił dwa zęby, które wybili mu koledzy z równoległej klasy C. Bójka wynikła w obronie honoru jednej z naszych koleżanek, Dzidki Foryś, o której chłopcy z tamtej klasy mówili mocno niepochlebne rzeczy. Mnie tam nie było, bo akurat leżałem chory. Stosunki towarzyskie z Markiem Grochowskim utrzymywaliśmy przez długie lata już jako dorośli ludzie z pewną przerwą w okresie studiów, kiedy to nasze drogi rozeszły się z powodu kobiety.

Blżej niż z innymi byłem też z Wojtkiem Walczakiem. Zналиśmy się jeszcze z podstawówki i byliśmy sąsiadami z tego samego budynku. Co prawda, rodzina Wojtka właśnie w czasie naszej nauki w liceum przeprowadziła się do budynku stojącego na rogu Pięknej i Mokotowskiej, ale bywałem i tam. Starszy brat Wojtka, student Politechniki Warszawskiej, pomagał nam rozgryzać problemy fizyki. Wojtek miał dwa nieprzyjemne zwyczaje. Prosił, żeby dać mu ugryźć jabłko, które człowiek sobie przyniósł do szkoły, a kiedy już ugryzł – czasem ze sporego jabłka zostawało mniej

niż pół. Lubił też bardzo mocno i boleśnie ścisnąć dłoń. Potrafił w ten sposób doprowadzać innych do tego, że klękali przed nim wijąc się z bólu i prosząc o łaskę. To udział Wojtka w pewnym zajściu sprawił, że zajście to nie miało żadnych konsekwencji.

Jechaliśmy na rowerach we trzech – Wojtek, Marek i ja – ulicą Sobieskiego w stronę Wilanowa. Akurat jechałem z przodu, a moi koledzy kilka metrów za mną. Niedaleko za Chełmską zobaczyłem dwóch milicjantów idących poboczem drogi w stronę Wilanowa. Było to wkrótce po tym, jak nasza dzielna milicja została wyposażona w pałki, to znaczy środki przymusu bezpośredniego. Tak się złożyło, że kilka dni wcześniej widziałem te „banany” w akcji pod kinem „Śląsk”, kiedy to kilku milicjantów próbowało rozpędzić koników handlujących biletami. Bez żadnej szczególnej intencji, ot tak, żeby coś powiedzieć, odwróciłem się do kolegów i powiedziałem dość głośno, bo byli za mną o dobrych kilka metrów „uważajcie, bo mają banany”. Wyprzedziliśmy idących powoli milicjantów i dalej spokojnie pedałowaliśmy w stronę Wilanowa. Kiedy byliśmy już dość blisko Alei Wilanowskiej, zobaczyliśmy przed sobą jakieś zamieszanie na drodze. Była tam milicja, stały jakieś samochody. Nie zrobiło to na nas żadnego wrażenia, bo jechaliśmy zgodnie z przepisami spokojnie i jeden za drugim, a karty rowerowe mieliśmy w porządku. Tymczasem dwaj milicjanci biorący udział w tym zamieszaniu za-

trzymali nas i od razu zaczęli na nas wrzeszczeć, żądać dokumentów itp. itd. Nie wiedzieliśmy początkowo, o co chodzi, zwłaszcza że o tym incydencie za Chełmską zdążyliśmy już zapomnieć. Milicjantów nie rozpoznaliśmy, bo wyprzedzając ich oglądaliśmy ich od tyłu i byli to dla nas po prostu ludzie w milicyjnych mundurach. Było ich dwóch, jeden zajął się Markiem, a drugi mną. Nie chcieli wyjaśnić, dlaczego nas zatrzymali. Krzyczeli m.in. „ja ci, gówniarzu, nie będę się tłumaczył”. Obaj zaczęli nas spisywać. Imię, nazwisko, adres, miejsce pracy rodziców. Jakoś w trakcie tych wrzasków dowiedzieliśmy się w końcu, że podobno obraziliśmy władzę ludową mówiąc, że „gliny mają banany”. Zaprzeczyłem stanowczo. Skojarzyłem już sobie tych spotkanych za Chełmską gliniarzy, którzy objawili się teraz nie wiadomo jak, gliniarzy – bo teraz już inaczej nie wypada ich nazywać, przyznałem, że to ja użyłem słowa „banany”, ale w żadnym razie nie powiedziałem nic o glinach. Na co znów usłyszałem „nie kłam, gówniarzu, będziesz się tłumaczył na kolegium”. Spisali tak, przy akompaniamencie tych wyzwisk Marka i mnie i obaj wzięli się do Wojtka. Wszystko szło dobrze aż do pytania o miejsce pracy ojca. „KC PZPR” odpowiedział Wojtek. „Co, jak?” zaczęli pytać przestraszeni nieco gliniarze. „Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej” odpowiedział tym razem Wojtek, używając pełnej nazwy na wypadek, gdyby ci biedni funkcjonariusze nie kojarzyli skrótu. W milicjantów jakby pio-

run trzasł! Trzeba przyznać, że honorowo dokończyli już spisywania, ale ucichły wszelkie krzyki i wyzwiska. Oddali nam dokumenty, zasalutowali, mówiąc „do widzenia” i nigdy żaden z nas przed żadnym kolegium nie stanął. Taka to była magia tego urzędu. A ojciec Wojtka rzeczywiście pracował w KC, ale był tam jakimś niezbyt ważnym urzędnikiem. Imunitet jednak zadziałał!

Wypada wspomnieć o Maćku Małeckim, choć nigdy nie był on moim bliskim kolegą. Maciek zresztą z pewnością nie był niczym bliskim kolegą, bo nie miał nigdy czasu. Uczył się równolegle w szkole muzycznej. Później brał udział w Konkursie Szopenowskim i jeden, czy dwa etapy zaliczył. Jest dziś znanym kompozytorem, choć ja przynajmniej znałem go dość długo jako kompozytora lżejszej muzyki. Napisał musical wystawiany w swoim czasie w Teatrze Rozmaitości, a także kilka piosenek, m.in. bardzo dobrą piosenkę „Wiosna” śpiewaną przez Skaldów. Niedawno byłem jednak na koncercie muzyki poważnej wypełnionym utworami Maćka i wyszedłem oczarowany! Maciek należał zawsze do najlepszych uczniów. Nigdy przez cztery lata szkoły nie usłyszałem z jego ust żadnej „łaciny”, choć używanie tego języka było w modzie. Z pewnością nie tak jak teraz, kiedy słowo „kurwa” używane jest w charakterze swoistego znaku przestankowego i słyszy się je i w ustach chłopaków i dziewczyn. My przy dziewczynach powstrzymywaliśmy się od takich wyrazów,

a Maciek nigdy ich nie używał. Podziwiałem go za to. Zazdrościłem mu też zawsze umiejętności gry na fortepianie. Zdarzało się, że na przerwach schodziliśmy do jadalni, która bywała zamieniana na salę balową i stał tam fortepian. Maciek grywał nam różne rzeczy i to od niego chyba dowiedziałem się czym jest jazz. Był u mnie na sylwestrowej prywatce i to przy tej okazji dowiedziałem się, że Maciek cierpi na klaustrofobię. Nie chciał skorzystać z windy. Ja też kiedyś byłem na kolejnej sylwestrowej prywatce zaproszony przez Maćka chyba do jego dziewczyny. Było to gdzieś w kolonii fińskich domków zlokalizowanej na skarpie nad Agrykołą.

Osobą godną uwagi był niewątpliwie Tadzio Hertz, wyróżniający się wzrostem i ogromną posturą. Tadzio na drugie śniadanie jadał chyba całą bułkę paryską. Skonstruował podobno jakiś przemyślny system korzystania ze ściągawek. Nie mogłem mu darować, że strasznie podrywał mi dziewczynę, która przyjechała do mnie z wizytą z Tczewa. Będzie jeszcze o tym mowa. Pisałem już o Jasiu Wojciechowskim. Rzeczywiście, nie miał on żadnych talentów ruchowych, ale był świetny z fizyki. Niejednokrotnie przepisywałem od niego zadane lekcje, jeśli sam nie umiałem sobie z tym poradzić. Jasio mieszkał w Gołąbkach i zawsze był w szkole bardzo wcześnie, już koło 7:30. Wystarczyło więc przyjść o tej porze i spokojnie można było przepisać to, czego nie umiało się zrobić, a co Jasio zawsze

umiał zrobić. Byliśmy kiedyś z wizytą w jego domu w Gołąbkach. Pojechaliśmy tam rowerami i bardzo nam się podobała ścieżka rowerowa wzdłuż jakiegoś odcinka ulicy Wolskiej. Smakowały nam też poziomki z ogrodu Jasia.

Część 5

Teraz kolej na dziewczyny. Wybory na Miss Klasy zapewne wygrałaby Teresa Domaszewska. Była to dziewczyna o klasycznej urodzie. Jak na tamte czasy dość wysoka, ale nie przesadnie. Figura bezbłędna. Twarz jakby z Modiglianiego w obramowaniu ciemnych, niezbyt długich włosów. Sprawiała wrażenie niedostępnej bogini i chyba dlatego nikt się nią nie interesował jako potencjalną dziewczyną. Kiedyś nasza pani od rysunków posadziła ją na krześle stojącym na stoliku nauczycielskim i kazała wszystkim rysować portret Teresy. Może to właśnie Teresa powinna rysować swój własny portret, bo jak się okazało jest plastycznie utalentowana. Jej zainteresowania wykraczały chyba daleko poza zainteresowania przeciętnego ucznia pierwszych klas liceum. Pamiętam, że ze dwa razy zdarzyło mi się wracać z Teresą do domu. Mieszkała gdzieś przy Polnej, a ja chodziłem Polną do domu. Czuję się strasznie, bo Teresa próbowała ze mną rozmawiać o książkach Prousta, których ja oczywiście nie czytałem. Klasa „odbijała” sobie ten kompleks podśmiewając się ilekroć Teresa zeznawała, że urodziła się w Kobyłce. Dziś Teresa jest scenografem i, jak nam

opowiedziała na spotkaniu klasowym, współpracowała nawet z samą Xymeną Zaniewską. Była żoną lekarza ze znanej lekarskiej rodziny Rużyłłów.

Urodziwa była również Krysia Żróbek, która siedziała chyba w ósmej klasie w jednej ławce z Teresą. Krysia była podobnego jak Teresa wzrostu i też miała przyzwoitą figurę. Miała jednak bardzo czarne włosy i śniadą cerę. Mieszkała w ekskluzywnym miejscu w jednym z domów przy ulicy Parkowej. Przejeżdżałem czasem pod jej oknami na rowerze, bo przyznam się, że przez jakiś czas „wzdychałem” do Krysi, ale tak jakoś jak do obrazka. Krysia niestety nie zdała do dziewiątej klasy i potem już nic o niej nie słyszałem. Wojtek Walczak zetknął się z nią podobno jako z kreślarką przy okazji wykonywania projektów.

Dziewczyną odbiegającą od „średniej klasowej” była też Iwona Byczkowska. Była to w całym tego słowa znaczeniu „panienka z dobrego domu”. Jej ojciec miał wytwórnę jakichś przedmiotów z tworzyw sztucznych, czyli był tak zwaną „prywatną inicjatywą”. Nie miał jednak w sobie nic z gruboskórnego cwaniaka. Odwiedzałem dom Iwony przy Raszyńskiej kilka razy i miałem okazję poznać jej rodziców. Ojciec był nobliwym, szczupłym panem, mogącym kojarzyć się z Jeremim Przyborą. Matka była bardzo troskliwa, bardzo dbająca o dom i miała doskonałe maniery. Sama Iwona była zawsze bardzo dobrą i bardzo ambitną uczennicą. Szczupłą, ponad średniego wzrostu jasna

blondynka o bladej cerze kojarzącej się z albinizmem. Cicha, spokojna. Czasem trudno się z nią rozmawiało, bo wygłaszała zaskakujące kwestie, jakby zupełnie nie à propos tematu, o którym była mowa. Sprawiała wrażenie trochę nieobecnej. W jakimś momencie wybrałem ją sobie za swoją damę, bo tak raczej należy to traktować. O Iwonie będzie jeszcze mowa wielokrotnie, bo stosunki utrzymujemy właściwie do dziś.

Z Iwoną w jednej ławce siedziała Basia Lichoń, pewnie dlatego, że znały się jeszcze z podstawówki. I fizycznie i pod względem osobowości były to i są dziewczyny tak różne, że trzeba szukać jakichś usprawiedliwień dla ich przyjaźni. Basia była niedużą, dość pulchną blondynką. Dziewczyna raczej niepozorna, bardzo pracowita, pilna i ambitna. Pochodziła z zupełnie innego domu, można powiedzieć, że z rodziny robotniczej. Tyle tymczasem o niej, a będzie znacznie, znacznie więcej, bo to przecież moja późniejsza żona.

Dziewczyną zwracającą uwagę była z pewnością Teresa Szymańska. Niewysoka, o krępej figurze, ciemna blondynka z dość długimi włosami w lokach. Myślę, że pod względem usposobienia była to dziewczyna dość podobna do Ewy z książki Makuszyńskiego „Szaleństwa panny Ewy”. Zawsze pogodna, życzliwa, taki dobry kumpel. Wyszła za mąż za Holendra, dziś mieszka gdzieś w Belgii. Często bywa w kraju i zawsze chętnie

uczestniczy w spotkaniach z dawnymi kolegami.

Przez klasę przewinęła się też Ewa Kosowska. Z figury i fryzury trochę podobna do Teresy Szymańskiej, ale chyba nie z usposobienia. Przez jakiś czas ją adorowałem, ale chyba służyła tylko zastępczo za inną Ewę, której nie było pod ręką. Mało, w sumie, ją poznałem. Chyba była dość kapryśna i niezbyt mądra. Jakoś kojarzy mi się z Alutką z serialu „Rodzina zastępcza”. Mieszkała na Ochocie, przy ulicy Reja i tam też wyprawiałem się rowerem. Romeo przechadzał się pod balkonem Julii, a ja przejeżdżałem pod balkonami moich Julii na rowerze. Inne dziewczyny nie zapisały się niczym szczególnym w mojej pamięci, choć mam nawet w oczach ich twarze. O niektórych zresztą już wspominałem, albo wspomnę przy okazji opowiadania o pewnych zdarzeniach.

Wspomnę jeszcze o jednej dziewczynie, choć nie była ona koleżanką z klasy, ale należała do grona znajomych z racji bardzo bliskich kontaktów z Basią Lichoń. Chodzi o Matyldę Osińską. Rodziny Basi i Matyldy żyły ze sobą bliżej niż niejedni krewni. Basia o rodzicach Matyldy mówiła „ciocia” i „wujek”, a Matylda tak mówiła o rodzicach Basi. Ojciec Matyldy był szefem na jakiejś stacji benzynowej i miał z tego niezłe „obrywy”. Dochody swoje starannie ukrywał i dlatego nigdy nie kupił sobie samochodu. Mówił, że stać go zawsze na taksówkę. Matka Matyldy nie pracowała, bo dochody ojca

w zupełności wystarczały na utrzymanie rodziny. Mieszkali w pięknym, dużym mieszkaniu gdzieś na Kaliskiej. Matylda miała młodszego brata, Jacka, który był z kolei rówieśnikiem i przyjacielem brata Basi, Jurka. Sama Matylda była naszą koleżanką z równoległej klasy łącińskiej, a więc tej, w której byłem przez parę dni na początku nauki w Liceum Gottwalda. Była to dość postawna i masywna dziewczyna, ale w żadnym razie nie gruba, o nieco negroidalnej urodzie. Była bardzo sympatyczna. Jako przyjaciółka i prawie siostra cioteczna Basi Lichoń brała udział w życiu towarzyskim grupy ludzi z naszej klasy.

Tyle o ludziach, teraz będzie trochę o zdarzeniach, które zapadły mi w pamięć z okresu licealnego. Niektóre zdarzenia związane ze szkołą opisałem już zresztą przy okazji pisania o ludziach – o nauczycielach lub o kolegach. Spróbuję przypomnieć sobie teraz inne rzeczy bezpośrednio lub pośrednio związane ze szkołą.

Przez jakiś czas wszyscy lub prawie wszyscy chłopcy opętani byli manią gry w cymbergaja. Gra polega na strzeleniu gola, przy czym piłką jest mała i lekka moneta, a graczami są większe i cięższe monety, po jednej za całą drużynę. „Graczy” tych uruchamia się, a właściwie popycha grzebieniem, małą ekierką lub kawałkiem linijki. Boiskami były szkolne ławki, a bramki albo nacinało się w postaci karbów na brzegach ławek, albo wbijało się jako słupki dwa gwoźdźdiki. Nie wolno było swoim „zawodnikiem” uderzyć w

przeciwnika. Był to *faul* karany rzutem karnym, to znaczy swobodnym strzałem na bramkę z bliskiej odległości. Gra ta ma tyle wspólnego z bilardem, że trzeba było zawsze oszacować prawidłowo kąt uderzenia „zawodnikiem” w „piłkę”, by ta poleciała we właściwym kierunku. Na przerwach, a czasem i po lekcjach rozgrywało zaciekle mecze.

W ósmej lub w dziewiątej klasie zorganizowano też szachowy turniej klasowy. Zająłem w nim zaszczytne trzecie miejsce. Nie pamiętam, kto wygrał, natomiast pamiętam niemiłe zdarzenie, do którego doszło w czasie gry o to trzecie właśnie miejsce pomiędzy mną a Jurkiem Harasimowiczem. W jakimś momencie przez nieuwagę straciłem hetmana, co dało Jurkowi znaczącą przewagę. Ale w dwa lub trzy ruchy później Jurek z kolei popełnił błąd i wystawił swojego hetmana na stratę. Właśnie rozważałem, czy nie ma w tym jakiejś pułapki, kiedy któryś z kibicujących kolegów dość głośno podpowiedział mi odpowiedni ruch stanowiący szach królowi z równoczesnym zagrożeniem hetmana. Powstała kontrowersja, czy wolno mi ten ruch wykonać. Byłem wściekły, bo właśnie analizowałem ewentualne skutki tego ruchu, a kibic nie powinien się odzywać. Powołana ad hoc komisja sędziowska dała wiarę moim wyjaśnieniom i pozwoliła na wykonanie tego ruchu. Przez niezdyscyplinowanego kibica pozostał jednak niesmak. Jak już wspomniałem, w innych sportach nie należałem do czołówki klasowej, choć miałem

nieźle wyniki w niektórych konkurencjach lekkoatletycznych. Poprawiłem sobie zdecydowanie opinię, kiedy przez jedno półroczne chodziliśmy w ramach lekcji w basen do MDK przy Konopnickiej. Tu okazałem się zupełnie dobry.

Gdzieś w latach licealnych po raz pierwszy zobaczyłem też pracujący telewizor. Nie pamiętam, kiedy dokładnie to było i gdzie, ale szkoła urządziła nam wyprawę na pokaz programu telewizyjnego. Takie to były czasy. W domu telewizor pojawił się dużo, dużo później. Nie było zresztą przez jakiś czas ani lodówki, ani pralki. Mama trzymała różne produkty w garnkach przywiązanych jakoś do parapetów okiennych, a mniej narażone na zepsucie w szafce w kuchni, która miała wybite otwory wentylacyjne na zewnątrz. Nawet telefon pojawił się w domu chyba dopiero pod koniec mojej nauki w liceum albo nawet już w okresie studiów. Aż trudno uwierzyć, jak bardzo zmieniła się otaczająca nas rzeczywistość za naszego jednego życia!

Część 6

Rok 1956 był dla mnie pamiętny nie tylko ze względu na wydarzenia krajowe. Umarł mój dziadek Zenon, który był w swoim czasie oficerem w armii carskiej, a po roku 1918 był pułkownikiem w Wojsku Polskim i zastępcą dowódcy pułku jazdy tatarskiej. Chorował w ostatnich tygodniach swego życia na uremię i zmarł w szpitalu w wieku 75 lat. Pogrzeb

dziadka na Cmentarzu Tatarskim pamiętam bardzo dobrze. Mimo sprzeciwu mamy ojciec kazał mi asystować przy zawiązaniu zwłok w płótno, bo tak nakazuje islam – mężczy członkowie rodziny zmarłego muszą asystować przy tej ceremonii. Imam sprowadzony gdzieś spod Białego Stoku po arabsku odprawił nakazane modły, każąc wcześniej wszystkim stanąć tak, aby nie odgradzali trumny od kierunku, w którym leży Mekka. Grób dziadka odwiedzamy do dziś.

Powszechnie natomiast są znane wydarzenia polityczne, jakie zaszły w tym 1956 roku. Najpierw przyszła śmierć towarzysza Bolesława Bieruta, który podobno zmarł w Moskwie na zapalenie płuc. Dziwna to była epidemia, bo w ten sam dokładnie sposób trzy lata wcześniej zakończył życie przywódca Czechosłowackiej Partii Komunistycznej i ówczesny patron naszej szkoły, towarzysz Klement Gottwald. Z powodu śmierci towarzysza Bieruta w szkole zwołano oczywiście żałobny apel. Tak, jak na każdym apelu poszczególne klasy stały w dwuszeręgach przy ścianie swojej sali szkolnej. Mieliśmy wtedy już dość rozumu, by wiedzieć, co to wszystko znaczy. Byli jednak i tacy, którym serdecznie żal było towarzysza Bieruta. Jedna z naszych koleżanek płakała na tym apelu.

Potem przyszedł październik 1956, zamknięcie pisma „Po prostu” i rozruchy studenckie, których część rozgrywała się dość blisko naszej szkoły, bo wokół terenów Politechniki Warszawskiej i w są-

siedztwie wielkiego akademika tej Uczelni przy Placu Narutowicza. Z przerażeniem słuchaliśmy też wieści najpierw z Poznania, a potem z Budapesztu. To wtedy nasz odwieczny premier Józef Cyrankiewicz wygłosił tę swoją słynną kwestię o ucinaniu rąk, które podniosą się na państwo ludowe i jego zdobycze. Wieści były niepewne, bo pochodziły albo z ustnych przekazów typu głuchy telefon, albo ze słuchania dość skutecznie zakłócanych audycji Głosu Ameryki lub Radia Wolna Europa. Pamiętam, że miałem poczucie winy wobec braci Węgrów. To my, Polacy sprowokowaliśmy tę „jesień ludów”, ale przez solidarność z nami Węgrzy przypłacili to wielkimi ofiarami. Wielu ludzi zginęło, znacznie większa liczba opuściła kraj na zawsze uciekając do Austrii, z którą bliskie związki ciągle jeszcze tkwiły w pamięci różnych ludzi. Tymczasem my wywinęliśmy się ze sprawy względnie tanim kosztem. Znalazł się mąż opatrnościowy, towarzysz Wiesław (Władysław Gomułka). Naród uwierzył mu, bo przecież on i jego najbliżsi współpracownicy (Zenon Kliszko, Ignacy Loga-Sowiński, Marian Spychalski) odsiedzieli swoje i teraz można im było zaufać jako ofiarom reżimu. Były tłumy skandujące na wiecach „Wiesław, Wiesław!” i znów była wiara, jak w pierwszych latach po wojnie, że będzie lepiej. W Budapeszcie nastąpiła era Janosa Kadara, w Warszawie 14 lat panowania I Sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, towarzysza Władysława Gomułki, którego przez analogię do przydomków królów zwano Władysławem Ga-

datliwym, a to ze względu na tasiemcowo długie przemówienia, jakie miał zwyczaj wygłaszać przy każdej okazji. Treść tych przemówień, niezależnie od okoliczności dla których były wygłaszane (1 Maja, 22 Lipca, 7 Listopada, czy Centralne Dożynki) była zawsze taka sama. Nudny to on był!

W szkole za wiele się o tym wszystkim nie mówiło. Wiedzieliśmy już wtedy, że nawet ściany mają uszy. Kiedyś, w czasach zaborów aktualne było powiedzenie „Choćby cię smażyono w smole, nie mów, co się dzieje w szkole”, bo szkoła bywała wówczas ostoją polskości. Teraz należałoby mówić „Nie powtarzaj lada komu tego, co się mówi w domu”. Przypomina mi to pewien krązący i bardzo trafny dowcip. Wania i Kola pili razem w jakiejś knajpie i wypili za dużo, co objawiło się tym, że zaczęli psioczyć na ustrój i władzę radziecką. Libacja i zwierzenia przeciągnęły się do późna. Zmęczony Kola wraca do domu myśląc, że warto by iść gdzie trzeba i donieść na Wanę, ale zmęczenie wzięło górę i odłożył sprawę do rana. Tymczasem nad ranem Kola usłyszał łomot do drzwi. Idąc otworzyć mruczał do siebie „A Wania nie poleniła!”. Wyjaśnia to wszystko znacznie późniejsza piosenka z kabaretu „Dudek” o kraju, w którym jeden szeryf wypada na jednego mieszkańca. Wydarzenia węgierskie 1956 roku miały natomiast taki skutek dla naszej klasy, że fprzybył nam nowy kolega. Paweł Willmann był

synem polskiego ambasadora w Budapeszcie. Dziś jest lekarzem psychiatrą.

Przechodząc do bardziej przyziemnych i przyjemniejszych rzeczy, w klasie był zwyczaj, że aktualnego solenizanta podrzucało się w górę, ale po którejś tam wędrownie w górę znikająca asekuracja rąk kolegów i solenizant miał twarde lądowanie. Nie udawało się to nigdy 23 kwietnia, w imieniny Jerzego i Wojciecha. Wojtków w klasie było dwóch (Walczak i Szemetyłło), Jurków trzech (Harasimowicz, Podolecki i Fiszdon). Razem więc stanowili siłę zdolną przeciwstawić się reszcie chłopców. Podobnie było dwa dni później. Marków w klasie było chyba czterech (Badowski, Grochowski, Kozłowski i Witkowski), a może nawet też pięciu. Zwyczaj ten nie dotyczył w żadnym razie dziewcząt. Do swoich dziewcząt mieliśmy stosunek bardzo rycerski, jak na nasze ówczesne charaktery. Traktowaliśmy je zawsze z szacunkiem, zawsze dostawały po kwiatku na 8 Marca, nigdy nie używało się przy nich plugawego języka. Były jak muzyka, która łagodzi obyczaje i taka przecież jest, między innymi, społeczna funkcja kobiet. Niestety, nie dziś, a to dzięki działaniom różnych nieodpowiedzialnych sufrażystek i innych emancypantek, a także dzięki obrzydliwej i głupiej propagandzie popularnej w tak zwanych kadeelach (kraje demokracji ludowej), czyli w obozie socjalistycznym, że kobieta może pełnić każdą funkcję i rolę, jaką pełni mężczyzna. Może nieźle streszczała to piosenka śpiewana przez wspa-

niały skądinąd zespół „Mazowsze” o dziewczynie co to „na traktorze siedzi i orze”. Nigdy nie byłem i nie jestem w najmniejszym stopniu przeciwnikiem równouprawnienia kobiet. Trzeba im dać te same prawa obywatelskie, ale nie można niszczyć ich kobiecego wdzięku i nie można ich brutalizować przez narzucanie im ról, do jakich nie są absolutnie przeznaczone.

Nie chcąc być poświadczonym o bardzo konserwatywnym postrzeganiu podziału ról napiszę może teraz trochę o życiu domowym w naszej rodzinie w moich latach licealnych. Zawsze żał mi było matki, która samotnie walczyła ze sprawami domowymi. Ojciec nie akceptował nawet przysłowiowego wynoszenia śmieci przez pana i władcę. Ponieważ miałem już dosyć siły, wziąłem na siebie dwa wielkie obowiązki – mycie okien dwa razy do roku (wiosna i przed zimą) i gruntowne sprzątanie (mycie i pastowanie podłóg) przed Świętami Wielkanocnymi i przed Bożym Narodzeniem). Brałem też często udział w takich zwyczajnych porządkach. Mama moja nigdy nie była przesadnie pedantyczna, ale raz na tydzień trzeba było chałupę odkurzyć i to też czasem robiłem. A te okna i podłogi były moim obowiązkiem przez cały okres liceum i studiów, tak długo, jak długo mieszkalem w domu rodzinnym. Jedno mycie okien omal nie skończyło się dla mnie tragicznie. Przez dłuższy czas mieliśmy od strony podwórka tzw. szwedzkie okna, to znaczy okna, które otwierało się odchyla-

jąc je górną częścią. Zawiasy były umocowane na dolnej, poziomej ramie. Okna można było uchylić trochę i zawiesić na specjalnych uchwytach. Do mycia trzeba je było jednak otworzyć całkiem, to znaczy położyć w poziomie. Opierało się je wówczas o jakiś solidny mebel. Na przykład w pokoju zajmowanym przeze mnie i siostrę, jedno z okien opierało się o wezłowie łóżka. Okna były duże i ciężkie, tak duże, że wyższe niż ja wówczas byłem. Okno leżało sobie oparte o łóżko, a ja stojąc na parapecie myłem ramę okienną. Nagle zachwiałem się i byłbym wyleciał za okno (trzecie piętro, beton pod oknem). Jakoś udało mi się przeważać w stronę pokoju, ale już lecąc zorientowałem się, że lecę prosto w leżącą szybę. I tu pomogła mi praca pana Ciszewskiego, naszego nauczyciela wuefu. W ostatniej chwili, korzystając z tego, że nogi miały jeszcze kontakt z parapetem odbiłem się i pięknym tygrysim skokiem przeleciałem nad leżącym oknem na łóżko. Wracając do zasadniczego wątku tego fragmentu moich wspomnień, starałem się pomóc jak mogłem mojej mamie, a do dziś staram się wyręczać w wielu rzeczach moją żonę. Nie jestem więc w żadnym razie zwolennikiem znanego niemieckiego hasła o roli kobiet „Küchen, Kirche, Kindern”, ale też i nie uważam, żeby właściwe było, by kobiety miały się typowo męskich, albo wymagających siły, albo brutalnych zawodów, a nawet pewnych dyscyplin sportu. Nie uważam, na przykład, by kobiety powinny boksować się, uprawiać zapasy, czy podnoszenie

ciężarów. Stając się takie samowystarczalne kobiety same pozbawiły się tego, czego powinny były strzec jak oka w głowie – męskiej opiekuńczości i rycerskości. Trochę o tym jest w znanej powieści Margaret Mitchell „Przeminęło z wiatrem”. A jak komuś nie chce się czytać tak długiej powieści, może przekona go stereotyp małej, bezradnej blondynki, albo tekst znanej przedwojennej piosenki „bo ja jestem, proszę pana, taka mała”.

Chyba w toku dziewiątej klasy znalazła się możliwość dodatkowej nauki języka niemieckiego, za specjalną opłatą. Informacja o tym została przekazana rodzicom na którejś z wywiadówek i mama zapisała mnie na te lekcje i zapłaciła chyba za całe półrocze. Tymczasem ja przestałem chodzić na te zajęcia po jednym albo dwóch tygodniach. Kiedy sprawa się wydała, rodzice nie mieli do mnie pretensji o to, że nie chcę chodzić na dodatkowe lekcje języka, ale o to, że płacą za nic. I pewnie mieli rację.

Z ważnych dla mnie wydarzeń z tego okresu trzeba odnotować udział w filmie „Zaczarowany rower”. Pewnego dnia w klasie zjawili się dwóch panów i podobnie jak tych „siedmiu panów w bardzo dziwnych kapeluszach” wybrali kilku chłopców. Był przy tym nasz pan Zdzisław Marek, ale był bardzo tajemniczy i nie chciał powiedzieć po co zostaliśmy wybrani. Czymś nawet głupim nas straszył. Tymczasem okazało się, że mamy statystować w filmie. Film był swoją drogą słabiutki. Widziałem go później w

kinie (przecież musiałem pójść na film, w którym grałem!). Graliśmy klasę, w której nauczycielem wf jest kolarz, uczestnik międzynarodowego wyścigu kolarskiego, można się domyślić, że chodzi o Wyścig Pokoju. Grał go Józef Nalberczak, ten Wania Jołki-Połki z serialu „Czterej pancerni i pies”. Przed ostatnim etapem wyścigu było wiadomo, że wygrać go może właśnie on, albo zawodnik węgierski. Na trasie ostatniego etapu nasz nauczyciel i nasz reprezentant odebrał siłą rower Węgrowi i dał mu swój, za co został zdyskwalifikowany. Wszyscy byli oburzeni i rozżaleni, ale my, klasa, wiedzieliśmy, co naprawdę zaszło. Jeden z naszych kolegów w nagrodę za jakieś osiągnięcia miał prawo towarzyszyć wyścigowi i znał kulisy sprawy. Otóż jeden z polskich mechaników chcąc zapewnić rodakowi zwycięstwo uszkodził w jakiś sposób rower Węgra. Nasz zawodnik dowiedział się o tym i postąpił honorowo – odebrał rywalowi uszkodzony rower, a oddał swój, dobry. Kiedy wszyscy się od niego odwrócili, my jedni przywitaliśmy go jak zwycięzcę. Z treścią filmu zapoznałem się dopiero oglądając go. Przy kręceniu tych kilku scen nie musieli nam tej treści wyjaśniać. W Warszawie kręcone były dwie sceny. Stadion CWKS Warszawa (obecnie Legia) już pusty, wiatr roznosi pozostawione gazety. Nasz nauczyciel wychodzi smętnie z rowerem z szatni, a tu my czekamy na bieżni i rzucamy się ku niemu biegiem, żeby mu wyjaśnić, że wszystko wiemy i jesteśmy z niego dumni. Była to chyba końcowa, a przynajmniej jedna z końco-

wych scen tego filmu. Druga scena kręcona była na ślimaku ulicy Karowej. Zupełnie nie kojarzę jej w samym filmie, być może w ogóle do niego nie weszła. Gromadka chłopców idzie ze swym nauczycielem, który prowadzi rower w górę ulicy Karowej. Niezwykle w tej scenie było to, że kręcona była zimą, a na filmie miało to być lato, czy późna wiosna. Scena powtarzana była parokrotnie. W przerwach między zdjęciami personel łącznie z panem Nalberczakiem chował się do furgonetki, w której zapewne było ciepło, a przynajmniej nie zimno. Natomiast my, statyści cały ten czas spędziliśmy na ulicy w krótkich spodenkach i w koszulkach z krótkimi rękawami. Owszem, jakąś kurtkę można było na chwilę na siebie zarzucić, ale spodni nie wolno było wkładać, bo nie było czasu.

Pozostałe sceny, w których brałem udział kręcone były już w atelier w Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi. Spośród chłopców wybranych z naszej klasy do Łodzi pojechałem już tylko ja. Widocznie miałem zadatki na aktora! Pamiętam przede wszystkim podróż pociągiem z Warszawy do Łodzi. Akurat w tym czasie rozgrywany był pamiętny finał mistrzostw świata w piłce nożnej, w którym wspaniała, niepokonana od paru lat drużyna Węgier z Puskasem, Kocsisem i Hidegkuti przegrała z RFN. Ktoś w pociągu miał radio tranzystorowe i przynajmniej ten jeden wagon poinformowany był na bieżąco o przebiegu tego niezwykle meczu. Zakwaterowani zostaliśmy w Hotelu „Savoy”

na Piotrkowskiej, co też było dla mnie przeżyciem. Bardzo wcześnie rano przyjeżdżała po nas furgonetka i zabierała nas do WFF. Tam panie charakteryzatorki malowały nas na pomarańczowo i szliśmy na zdjęcia. Graliśmy klasę, tym razem w klasie. W jednej scenie pisaliśmy klasówkę. W innej, w czasie lekcji prowadzonej przez naszą wychowawczynię (Ewa Krasnodębska?) do klasy wchodził nasz pan od wf i prosił panią o pozwolenie przekazania nam komunikatu. Komunikat był o tym, że jeden z nas będzie mógł pojechać z wyścigiem. Chłopca tego grał Roman Polański, wówczas jeszcze student w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi. Siedział w ławce przede mną z Andrzejem Kozakiem znanym z filmu „Piątka z ulicy Barskiej”. To między nimi rozgrywała się też trzecia z nakręcanych tam scen – podawanie sobie jakiejś karteczki, nie wiem, czy ściągawki, czy jakiejś wiadomości. Kilkudniowy pobyt w WFF był dla mnie bardzo atrakcyjny. W przerwach między zdjęciami można było spotkać w bufecie znanych aktorów. W sąsiednim atelier oglądaliśmy dekoracje do innego, kręconego tam wówczas filmu. W sali projekcyjnej pokazywano filmy, które podobno nie zawsze trafiały do kin. To tam właśnie pierwszy raz widziałem fragmenty wspaniałego francuskiego filmu z Yves Montandem w roli głównej „Cena strachu”. Wieczorem, jeszcze w charakteryzacji odwożeni byliśmy do hotelu. Było ciemno i ludzie brali nas za obcokrajowców, częściowo z powodu charakteryzacji, a częściowo z powodu sugestii, że

w „Savoyu” rodacy w takim wieku mieszkać nie mogą. Podtrzymywaliśmy zresztą starannie te złudzenia próbując mówić po francusku. Otarłem się więc o świat filmu, ale sama praca wydawała mi się męcząca. Najbardziej irytowało powtarzanie w kółko po kilka razy tych samych głupich epizodów. Długie przygotowania, potem polecenie reżysera lub jego asystenta „kręcimy”, „klaps” i scena ruszała. Kiedy wydawało się, że tym razem idzie dobrze, nagle odzywał się okrzyk reżysera „stop” i cała sprawa zaczynała się od początku. Ale przez te kilka dni pracy zarobiłem pieniądze na prawdziwy rower. Kupiłem sobie, jak to się wtedy mówiło, półwyścigowy, czeski rower marki „Sport”. Przerzutki nie miał, ale miał wolne koło, opony były dość wąskie, kierownica w „barana” i prawdziwe kolarskie siodełko. Rower ten służył mi długie lata. Jeździłem na nim jeszcze po sadzie w Nowej Wsi, kiedy wykonywałem doświadczenia do swojej pracy doktorskiej (1964-67). Byłem z tego roweru dumny, tym bardziej, że sam na niego zarobiłem. Był on zresztą rzeczywiście znacznie lepszy od roweru, który miałem wcześniej.

Część 7

Na rowerze „Sport” miałem kiedyś poważny wypadek. Wracałem do domu z Ochoty i jadąc Nowowiejską między Placem Jedności Robotniczej (tak się wówczas nazywał plac przed frontonem Politechniki Warszawskiej na pamiątkę zjazdu zjednoczeniowego PPR i PPS, które

połączyły się w PZPR, a zjazd odbywał się w głównej auli Politechniki) a Placem Zbawiciela wjechałem przy dość dużej szybkości przednim kołem w szynę tramwajową. Rower stanął dęba, a ja wywinąłem salto i rąbnąłem na jezdnię. Autentycznie myślałem, że się zabiłem i dopiero, kiedy uświadomiłem sobie, że skoro myślę, to pewnie żyję. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że tę prawdę dawno temu odkrył Kant! Poruszyłem na próbę rękami, potem, nogami i zacząłem się powoli zbierać. Wokół mnie zdążyło się zgromadzić już kilka osób, które też obawiały się, czy przeżyłem, bo wyglądało to dość poważnie. Ludzie ci wydali jakieś okrzyki ulgi widząc, że ruszam się i wstaję. Przednie koło było do wymiany, a ja miałem zdartą skórę na rękach i kolanach. Będąc w nienajlepszym stanie musiałem doprowadzić rower do domu, a potem, kiedy się już umyłem pojechałem na Grochów. Ustalono było, że przyjadę po siostrę wcześniej, którą rodzice zabrali ze sobą do znajomych. Chodziło oto, by rodzice mogli spokojnie pograć w brydża do późniejszych godzin. Oczywiście, gdybym zadzwonił i wyjaśnił, że nie mogę przyjechać, jakieś wyjście by się znalazło. Ja jednak bałem się, że dostanę burę za sam wypadek i wołałem nie dokładać dalszych powodów do niezadowolienia. Źle zresztą oceniłem swoich rodziców. Oczywiście, nie tylko że nie dostałem żadnej buri, ale użalali się nade mną i próbowali mi wyjaśnić, jak nierozsądnie postąpiłem podróżując w takim stanie na Grochów.

Innym razem o mały włos, a wyłądowałbym na Marszałkowskiej pod rozpędzonym mercedesem. Wyjeżdżaliśmy z Wojtkiem Walczakiem z podwórka na Marszałkowską. Wtedy ulica jeszcze była dwukierunkowa na tym odcinku. Środkiem biegły tory tramwajowe przerzucone później na zachodni brzeg ulicy, a między naszym budynkiem, a budynkiem Marszałkowska 17 był wyjazd na ulicę. Widoczność zasłaniał stojący przy sklepie papierniczym spory samochód dostawczy, nieprawidłowo zaparkowany. Dopiero kiedy byłem już na jezdni zobaczyłem parę metrów na lewo pędzącego na mnie mercedesa, który wyłonił się zza tej furgonetki. Uratowało mnie to, że podjąłem odruchowo jedyną prawidłową decyzję i nacisnąłem na pedały, co pozwoliło mi uciec przed samochodem, który zresztą próbował hamować. Nie wiem, co się tam dalej działo, bo natychmiast uciekłem w Litewską. Wina wprawdzie była głównie kierowcy furgonetki, który nieprawidłowo zaparkował zasłaniając widoczność wyjeżdżającemu, ale w tej sytuacji ja powinienem był zachować się ostrożniej.

W ciągu tych czterech lat nauki w Liceum im. Gottwalda organizowanych było kilka wycieczek. Doskonale pamiętam, że nie brałem w nich udziału, natomiast zupełnie nie pamiętam, dlaczego. Początkowo też unikałem szkolnych potańcówek. Trochę to dlatego, że nie umiałem tańczyć. Inną przyczyną mogło być to, że nie umiałem jeszcze wówczas w żaden sposób przełamać nieśmiałości

wobec dziewcząt. Tymczasem szkolne potańcówki były organizowane dość regularnie. Nie jestem pewien, ale każda klasa miała chyba okazję bawić się ze dwa razy do roku – raz w karnawale, a raz późną wiosną, przed zakończeniem roku szkolnego. Nie znaczy to, że zabawy te odbywały się dla każdej klasy osobno. Chyba bawiły się razem równoległe roczniki? Można też było zaprosić na zabawę partnerkę czy partnera z zewnątrz. Zabawy odbywały się w dużej stołówce. Grał z reguły niewielki zespół muzyczny – fortepian, perkusja i jakiś instrument dęty – klarnet albo saksofon tenorowy. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek był tam jakiś wokalista lub wokalistka. A w ostatnich dwóch latach szkoły zacząłem już na te potańcówki uczęszczać. Odwagi dodawali sobie wypijając, jak już wspomniałem, butelkę wina lub miodu pitnego we trzech lub we czterech. Taka ilość alkoholu wystarczająco dobrze wpływała na nasz nastrój, a nie powodowała podejrzanych zmian w zachowaniu. Pić alkohol nauczyłem się zresztą w domu rodzinnym. Mama moja robiła jakiś taki specjalny napój zwany porterówką. Kiedyś dostałem to do spróbowania i bardzo mi zasmakowało. Rodzice nie mieli nic przeciwko temu bym wypił kieliszek porterówki lub szklaneczkę wina.

Na szkolnych zabawach grano tanga, walce lub melodie w modnym wówczas rytmie beguine, a trochę też było rytmów latynoamerykańskich. Były to też często instrumentalne wersje popular-

nych wówczas piosenek śpiewanych przez Janusza Gniatkowskiego, Martę Mirską, Mieczysława Fogga lub Marię Koterbską. Zabawy te trwały do przyzwoitej pory, może do dziewiątej, z pewnością nie dłużej niż do dziesiątej wieczorem. Potem odprowadzało się panny do domów, często w grupach ustalając trasę tak, że przechodziło się lub przejeżdżało kolejno koło miejsc, w których ktoś mieszkał i odłączał się od grupy. Pamiętam, że raz zdarzyła się jakaś wyjątkowo nudna i nieudana zabawa. Postanowiliśmy w kilku zmienić lokal i po prostu pójść do kina. Kin w Warszawie nie było jeszcze zbyt wiele, na dodatek trzeba było zdecydować się na niezbyt odległe kino, żeby zdążyć na seans rozpoczynający się o 20:00. Wybraliśmy kino „Moskwa”, gdzie grano film pod tytułem „Szkice węglem” oparty na znanej noweli Henryka Sienkiewicza. Perypetie małżeństwa Rzepów i głupie podstępny pana pisarza Zołzikiewicza okazały się tak beznadziejnie nudne, że prędko wyszliśmy z kina i postanowiliśmy jednak wrócić na szkolną zabawę. Wyjątkową zabawą była zapewne studniówka, przyznam się jednak, że nie bardzo pamiętam tę imprezę. Może to przez te szkolne zabawy zaczęła się formować grupa koleżeńska, która przetrwała, przynajmniej w części, długie lata, a nawet zaowocowała dwoma małżeństwami. Poza mną do tej szóstki należeli Iwona Byczkowska, Marysia Filipek, Basia Lichoń, Marek Badowski i Marek Grochowski.

Zupełnie inaczej wyglądały zabawy w domach u kogoś, czyli tak zwane wówczas prywatki. Zapraszało się na nie dość wąskie grono bliskich koleżanek i kolegów. Korzystało się z muzyki mechanicznej (radio, gramofon – magnetofonów wtedy jeszcze nikt nie miał). Na ogół też na prywatkach było wino, ale nigdy w dużych ilościach. Temat prywatek łączy się jednak z Ewą Bykowską, moją pierwszą autentyczną miłością, a to z kolei wymaga, bym najpierw opowiedział o wakacjach.

Ewę poznałem na wakacjach u Dziadka w Ostrowcu. Dość wysoka, dość zgrabna, blondynka o niezbyt obfitych włosach, lekko falujących. Była bardzo sympatyczna w bezpośrednich kontaktach. Spędziliśmy razem te kilka dni nic szczególnego nie robiąc. Ot, zapewne łaziliśmy po ogrodzie, albo siedzieliśmy gdzieś na tarasie, czy w domu, czy na ławce pod trześnią. Raz byliśmy z całą wyprawą na Romanowie. Po kilku dniach Ewa odjechała do domu, do Tczewa, a ja w stosownym czasie wróciłem do domu do Warszawy. Ale wróciłem już nie ten sam. Byłem pierwszy raz w życiu autentycznie zakochany. To zapewne za przyczyną tych kilku dni spędzonych w stałym i w miarę bliskim kontakcie z dziewczyną, której przestałem się bać. Pisałem już, że byłem dość nieśmiały w kontaktach z dziewczynami i byle co mnie odstraszało. Tym razem byliśmy skazani na swoje towarzystwo i Ewa mnie nie odrzuciła ani nie zniechęciła w żaden sposób. Pisałem

dla niej wiersze, ale nie zachowały się. Pisałem też mnóstwo listów, na które nie otrzymywałem odpowiedzi. I tak to trwało aż do matury. Owszem, były na miejscu jakieś inne damy serca – Iwona Byczkowska, Ewa Kosowska – ale to wszystko było zastępczo, bo było na miejscu, bo ta prawdziwa pani mojego serca nie była dla mnie łaskawa.

To dla Ewy powstał pomysł urządzania sylwestrowej prywatki 1956/57 w moim domu. To znaczy, to nie ona poddała taki pomysł, tylko ja to wymyśliłem dla niej. Rodzice zgodzili się, jak również zgodzili się na zaproszenie Ewy na ferie zimowe do nas. Była to transakcja wiązana. Ewa została zaproszona, aby mogła wziąć udział w zabawie sylwestrowej. Moja siostra widocznie bardzo Ewę polubiła i uznała ją za domownika, bo zdecydowanie faworyzowała ją wobec innych dziewczyn, które przyszły na prywatkę sylwestrową. Pamiętam, że próbowała odbierać tym innym dziewczynom różne rzeczy i przekazywała je Ewie. Krótko mówiąc, przynosiła mi wstyd. W końcu jednak mama zabrała ją i moje koleżanki mogły już swobodnie brać do ręki rozmaite rzeczy. Swoją drogą, moja siostra zachowywała się dziwnie. Miała już wtedy przecież prawie 9 lat. Ale jeszcze lepiej popisała się moja rodzicielka. W jakimś momencie chcąc zabawić towarzystwo przyniosła album z moimi zdjęciami z okresu wczesnego dzieciństwa. Jak to bywa w przypadku zdjęć robionych małym dzieciom, często były to zdjęcia

golaski. Co za radość miały te wszystkie dziewczuchy!!! A ja myślałem, że najpierw ubiję moją rodzicielkę, a potem sam się pod ziemię zapadnę. Na prywatce tej z dziewczyn były z pewnością Basia Lichoń, Matylda Osińska, Iwona Byczkowska i Marysia Filipek, a z chłopców Marek Grochowski, Marek Badowski, Maciek Małecki i Tadzio Hertz. Tadzio był tam z pewnością, bo pamiętam, że przypiął się do mojej Ewy na tyle, że jeszcze w Nowy Rok, czy może już 2 stycznia poszedł z nami na koncert jazzowy i nie mogłem się go pozbyć. Grał tradycyjny zespół „Melomani” z Krakowa. Andrzej Kurylewicz grał tam na fortepianie, Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz na saksofonie, a Roman Dyląg na basie. Nie pamiętam, kto grał na perkusji. Musiała tam być i trąbka (albo kornet) i puzon, bo był to z pewnością klasyczny tradycyjny zespół dixielandowy. Skład znalazłem w encyklopedii, ale nie umiem przyporządkować nazwisk do instrumentów, więc nie będę fantazjował. Pamiętam natomiast, że wrzaski i gwizdy były potężne, jak na jazzowy koncert przystało. Marynarki i swetry też fruwały w powietrzu. Starałem się więc, jak widać, Ewie ten pobyt w Warszawie uatrakcyjnić.

Tymczasem wracam do sprawy prywatki z czasów licealnych. Również kolejna prywatka sylwestrowa 1957/58 odbyła się u mnie. Ewę Bykowską zapewne próbowałem znów zaprosić, ale nic z tego nie wyszło. Skład był bardzo podobny, tylko zamiast Ewy Bykowskiej by-

ła Ewa Kosowska. Pamiętam, że w czasie tej zabawy ostro podrywał ją Maciek Małecki. Zabawa ta źle skończyła się dla pewnej liczby płyt, które leżały porozrzucone na tapczanie. W jakimś momencie, na zakończenie rock’n’rolla Marek Badowski z obrotu puścił Iwonę na tapczan. Iwona wprawdzie szczupła dziewczyna, ale płyty jednak tego nie wytrzymały. Z całkiem innych przyczyn wspominam też jakąś prywatkę u Jurka Harasimowicza. Była to prywatka pod ścisłą kontrolą rodziców Jurka. Absolutnie zabroniono nam pić jakiegokolwiek alkoholu. Chciałbym tu wyraźnie zaznaczyć, że ilości wypijanego przez nas w czasie takich zabaw alkoholu były zupełnie symboliczne i w tej grupie pijaństwa, ani do żadnych ekscesów. Rodzice Jurka jednak widocznie hołdowali powiedzeniu, że „strzeżonego Pan Bóg strzeże”. Sympatyczna była natomiast prywatka w domkach fińskich na skarpie nad Agrykolą. Zaprosił mnie na nią Maciek Małecki, a dom był chyba domem jego dziewczyny?

Część 8

Zbliżamy się nieuchronnie do spraw ważnych i poważnych. W maju 1958 roku całe to towarzystwo przystąpiło do matury. Absolutnie nie pamiętam daty pisemnego egzaminu maturalnego z polskiego. Pamiętam, że pisałem wypracowanie na temat „Tematyka narodo-wo-wyzwoleńcza w utworach Stanisława Wyspiańskiego i Stefana Żeromskiego”.

Pamiętam, że dostałem za to wypracowanie piątkę i pochwałę za najlepsze wypracowanie maturalne w szkole. Piątka była zgodna z planem i zwalniała mnie, zgodnie z planem, z konieczności zdawania egzaminu ustnego z języka polskiego. Matematyka pisemna też jakoś mi poszła. Nie rozwiązałem tylko jakiegoś równania logarytmicznego, czy wykładniczego, bo zupełnie nie wiedziałem jak się to robi. Dostałem nawet ściągę, ale w tym temacie byłem tak ciemny, że nawet z tej ściagi nie umiałem skorzystać. Puściłem ją po prostu dalej. Pomogłem natomiast siedzącej za mną Basi Lichoń rozwiązać zadanie bryłowe pokazując jej własną pracę, którą niby to starannie sprawdzałem. Dostałem czwórkę, ale w tym przypadku ustny i tak musiałem zdawać.

Ustny egzamin maturalny, a właściwie różne jego fragmenty pamiętam, choć i w tym przypadku nie pamiętam daty. Weszliśmy we trójkę – Marysia Filippek, Basia Lichoń i ja. Każdy wylosował pytania z jednego z przedmiotów i po krótkim przygotowaniu kolejno przystępowaliśmy do odpowiedzi, losując po niej pytania z następnego przedmiotu. Ja zacząłem od matematyki, bo obie dziewczyny tego przedmiotu się bały i wołały zostawić sobie na koniec. Kiedy usiadłem z wylosowaną kartką przy stoliku i przeczytałem pytania trochę się odprężyłem, bo nie były skomplikowane. Miałem pewne wątpliwości co do wzoru Herona, ale kiedy za radą pani Kaczmarczykowej zrobiłem sobie do tego rysunek, od razu mi

się rozjaśniło w głowie. Matematykę zdałem na piątkę. Wylosowałem pytania z historii i przygotowując się do odpowiedzi słuchałem, jak przedmiot ten zdaje Marysia. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Marysia miała kłopoty z wymienieniem nazwisk z kręgu encyklopedystów francuskich. Natomiast świetnie radziła sobie z pytaniem „osadnictwo w Polsce na prawie niemieckim”, a ja dziękowałem Bogu, że nie muszę na takie pytanie odpowiadać, bo pojęcia nie miałem, o co tu w ogóle chodzi. Opowiedziałem wszystko o stosunkach polsko-krzyżackich do czasu bitwy pod Grunwaldem i wprowadziłem w podziw panią Gosiewską przytaczając nazwisko Wielkiego Mistrza w chwili, w której Zakon znalazł się na terenie Polski. W inny rodzaj podziwu wprowadziłem natomiast panią Gosiewską referując przyczyny klęski Napoleona w Rosji. Wydawało mi się, że wyliczyłem i omówiłem wszystkie ważne przyczyny tej klęski, a pan Marek ciągle jeszcze czegoś chciał. W końcu zeznałem, że Napoleon niepotrzebnie spalił Moskwę pozbawiając się w ten sposób oparcia na zimę. I tu pani Gosiewska wrzasnęła (słusznie!) ze zgrozą 'A „Wojnę i pokój” to ty czytałeś?'. Rzeczywiście, czytałem, co przyznałem skruszony i natychmiast się poprawiłem. Piątkę i tak dostałem. Pani Gosiewska próbowała mnie namówić, żebym zdawał ustny z polskiego. Powiedziała, że bez piątki z ustnego mimo piątki z pisemnego nie będzie mogła mi postawić piątki na świadectwie maturalnym, bo zbyt dużo miałem czwórek na okresy. Odmówiłem.

Czwórka to zupełnie dobry stopień, a nie miałem zamiaru kompromitować się brakiem znajomości gramatyki. Nie przygotowywałem się zupełnie do ustnego egzaminu z polskiego, bo założyłem, że nie będę go zdawał. Zupełnie nie pamiętam pytań z biologii, ale tu czułem się najlepiej i też dostałem piątkę. Natomiast biedna Basia upuściła szkielet żaby i całkiem go zniszczyła, ale i tak dostała piątkę. I tu nastąpiło coś, co do dziś pamiętam jako wrzeszczącą niesprawiedliwość. Akurat tego popołudnia przyszedł do szkoły reporter ze „Sztandaru Młodych”, żeby coś napisać o maturze. Dostał potrzebne informacje i następnego dnia napisał, że maturę najlepiej zdawała Basia Lichoń, bo dostała 4 piątki. Ja też dostałem same piątki, choć tylko trzy, bo polskiego nie zdawałem! Tak, czy inaczej, świadectwo maturalne mam bez trójki.

Pamiętam też, choć nie całkiem, jedno drobne wydarzenie z czasu ustnych egzaminów maturalnych. Staliśmy w kilka osób przed wejściem do szkoły. Któryś z kolegów użalał się, że nie czuje się przygotowany do odpowiedzi z historii na temat wojny francusko-hiszpańskiej na terenie Niderlandów. Akurat ten temat miałem opanowany i zreferowałem go koledze. W zestawie pytań z historii, który wylosował było właśnie takie pytanie i zdołał na nie odpowiedzieć w sposób zadowalający!

Potem był bal maturalny, pierwszy bal poza szkołą. Nasz bal maturalny odbył się 8 czerwca gdzieś na Senatorskiej.

Bawiliśmy się do rana, a wieczorem chyba 12-osobowa grupa wyruszyła na wycieczkę pomaturalną w Pieniny. Tym razem brałem w tej wycieczce udział. Pojechały tylko trzy dziewczyny z klasy – Iwona Byczkowska, Marysia Filipek i Basia Lichoń. Chłopców było ośmiu lub dziewięciu. Był Marek Badowski i Marek Grochowski i z pewnością był Jurek Fiszdon, bo pamiętam jego zdjęcie w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych z tej wycieczki. Jako opiekun pojechał nasz wychowawca, pan Zdzisław Marek. Podróżowaliśmy w nocy i całą noc nie spaliśmy, co nie było łatwe po balu maturalnym. Kiedy dotarliśmy do Czorsztyna, pogoda była fatalna, po prostu padało. Kwatery mieliśmy w typowych domkach campingowych. Zdaje się, że oglądaliśmy zamek w Nidzicy, gdzie według legendy powiesili Janosika za poślednie zbroje. Całą noc przebalaganiliśmy śpiewając i opowiadając sobie głupie i świńskie dowcipy. Zachowywaliśmy się dość głośno i to wtedy nasze koleżanki miały okazję usłyszeć, jakim językiem posługujemy się, kiedy wydaje nam się, że dziewczyny nas nie słyszą. Była to trzecia kolejna nieprzespana noc. Ile to człowiek mógł, kiedy był młody!

Przed południem następnego dnia wsiedliśmy na tratwy flisackie i mimo kiepskiej pogody odbyliśmy planowany spływ Dunajcem. Siąpiący bez przerwy deszcz nie zdołał nam zepsuć przyjemności oglądania malowniczego rzeczywiście przełomu Dunajca przez Pieniny i z zapa-

łem próbowaliśmy odgadywać kolejne zakręty rzeki. Nie uchroniło nas to przed zmoknięciem i w Szczawnicy nabyliśmy profilaktycznie wino „Złota grań”. Był to typowy jabcok, jak to potem nazywano, albo „wino patykiem pisane”. Do Czorsztyna wracaliśmy autobusem PKS prowadzonym przez brawurowo jadącego kierowcę. Droga tam wąska, mnóstwo zakrętów, a ten pan jechał bardzo szybko i zakręty brał prawie na dwóch kołach. Być może on też zmókł i nie tylko kupił „Złotą grań” ale i wypił ją. Dojechaliśmy jednak szczęśliwie. Po kolacji udaliśmy się do domku pana Marka i odważnie zaproponowaliśmy mu wino na rozgrzewkę. Byliśmy przecież dorośli, po maturze i uważaliśmy, że możemy naszemu byłemu już wychowawcy zaproponować wspólną szklankę wina na rozgrzewkę po tym fatalnym deszczu. Ktoś miał butelkę po jakimś bardziej szlachetnym trunku i do tej butelki przelaliśmy naszą „Złotą grań”. Pan Marek okazał się jednak znawcą przedmiotu i po skosztowaniu wina powiedział „oj chłopcy, ale wy mnie oszukujecie!” To już nas w pełni do niego przekonało.

Rano pan Marek podjął męską decyzję i wobec fatalnej, zupełnie niewyieczkowej pogody, zmienił plany i udaliśmy się do Krakowa. Ponieważ nie było to planowane, nie mieliśmy zarezerwowanego noclegu. Jakoś jednak udało się znaleźć pokoje, w których wprawdzie na kupie, ale mogliśmy się przespać. Nie pamiętam, co oglądaliśmy w Krakowie. Za-

pewne wszystko tylko z zewnątrz, bo pewnie też trzeba było mieć rezerwację na przykład na wycieczkę po wnętrzach Wawelu. Tak czy inaczej 12 czerwca 1958 byliśmy na Krakowskim Rynku. Marek Badowski kupił jakiś bukiet Iwonie Byczkowskiej, z którą zawsze stanowił świetną parę taneczną na prywatkach. Marek Grochowski kupił bukiet dla swojej damy serca Marysi Filipek. I tu wspólnie znalazł się nasz Zdzicho. Zwrócił nam po cichu uwagę, że w tej sytuacji trzecia z naszych koleżanek, Basia Lichoń nie powinna zostać bez kwiatków. Ofiarowałem więc jej bukiet stokrotek i stało się to początkiem wielkiej i lata trwającej miłości. Wprawdzie moje serce „miał wtedy w dzierżawie kto inny”, ale podobnie jak panu Andrzejowi Kmicicowi „tenu ty nie płacił”. Uznałem się więc za wolnego i postanowiłem, że wolno mi zakochać się w Basi.

Nie pamiętam już, w jaki sposób powstał pomysł wybrania się na wakacje we czwórkę – Marysia Filipek, Basia Lichoń, Marek Grochowski i ja. Pomysł, moim zdaniem, musiał powstać po wycieczce pomaturalnej. Postanowiliśmy pojechać do miejscowości Szyba położonej pod Elkiem. Miejscowość wybraliśmy zapewne dzięki sugestii kolegi z klasy, Marka Pałysa, który bywał tam już na wakacjach z rodziną, wybierał się tam też i w te właśnie wakacje i obiecał nam załatwić kwaterę prywatną, a wyżywienie w domu wczasowym, w którym sam mieszkał. Położona około 3 kilometry na

południowy zachód od Elku miejscowość rzeczywiście jest ładna. Tuż obok jest kilka niewielkich jeziorzek połączonych malowniczymi kanałami. Na jeziorunku najbliższym Szyby była wypożyczalnia kajaków i coś w rodzaju niewielkiej przystani. Oczywiście był las. Kwatera była przyzwoita. Dwa pokoje w amfiladzie. My z Markiem zajęliśmy ten pierwszy, by bronić dostępu do naszych pań. Spędziliśmy tam chyba dwa tygodnie. Jechało się dość długo, całą noc osobowym pociągami do Elku przez Olsztyn. Pewną osobliwością Szyby było to, że taka mała miejscowość miała aż dwa przystanki kolejowe, a to dlatego, że zbiegały się tam linie kolejowe prowadzące do Elku i dalej do Gołdapi i Suwałk. Przystanek Szyba Zachód znajdował się na linii z Olsztyna, a przystanek Szyba Wschód na linii z Białegostoku. Oba przystanki leżały przy szosie z Elku do Szyby, która przecinała oba tory. Odległość między tymi dwoma przystankami wynosiła chyba z 50 metrów.

Wakacje były całkiem przyjemne. Kapaliśmy się w jeziorze, pływaliśmy kajakami po jeziorach i łączących je kanałach. Włóczyliśmy się po lesie i po polach. Czasem korzystaliśmy ze stołu pingpongowego w domu wczasowym, w którym żywiliśmy się. To tam opowiedziałem kiedyś przy obiedzie zasłyszana od dziadka Zenona historyjkę o dwóch Anglikach, maniakach zakładów. Opowiedziałem ją w nadziei zniechęcenia naszych dziewczyn do zjedzenia deseru, na który obaj

z Markiem mieliśmy ochotę. Dwóch Anglików założyło się o to, który z nich potrafi zjeść bardziej obrzydliwą rzecz. Jadali rozmaite obrzydliwości, ale zakład był ciągle nierozstrzygnięty, bo co zjadł jeden, to i drugi potrafił zjeść. Aż raz znaleźli przy drodze kotka, który dawno już zakończył życie i teraz pożywiały się nim robaczki. Jeden z Anglików rzucił się na tę wspaniałą potrawę i spożył ją. Ale nie wytrzymał i zwrócił. A wtedy ten drugi spożył to, co zwrócił jego konkurent i tak wygrał zakład. Obrzydliwa historyjka, prawda? Nie pamiętam już, czy udało nam się dzięki temu zjeść po dwa desery. Pamiętam natomiast sromotną porażkę w meczu pingpongowym z Marysią. Od czasów Karolka Bakasza nie grywałem i widocznie mocno się uwsteczniłem! Pamiętam też, jak z Markiem pobiliśmy rekord świata w biegu na 3 kilometry. Któregoś dnia postanowiliśmy wybrać się do kina do Elku. Jako dżentelmeni poszliśmy z Markiem najpierw po bilety. Telefonów komórkowych, ani innych środków łączności wówczas nie było. Po kupieniu biletów musieliśmy więc wrócić na kwaterę, aby powiadomić dziewczyny o sukcesie. Czasu było niewiele, więc ruszyliśmy z Elku do Szyby biegiem. Według drogowskazu miało tam być 3 kilometry, a uzyskany przez nas czas był o sekundę lepszy od rekordu świata na tym dystansie. Świadczy to tylko o niedoskonałości informacji na drogowskazach.

Najważniejszą jednak rzeczą był rozwój wydarzeń pomiędzy mną i Basią.

Prawie cały czas spędzaliśmy we czwórkę, a czasem, dość rzadko, to nawet i z Markiem Pałysem i jego ojcem. Jedyne chwile sam na sam to były chwile spędzone na kajakach. Marek Grochowski wtedy wyraźnie już adorował Marysię, a ja wierny losowi wyznaczonemu 12 czerwca przez bukiecik stokrotek, próbowałem wyznawać swoje uczucia Basi. Nie spotkało się to z pełną aprobatą. Basia cenila sobie naszą przyjaźń i tylko przyjaźń. Nadal była bardzo życzliwa, przyjacielska i nic więcej. Psuło to mój nastrój, ale jeszcze wtedy nie byłem nieszczęśliwy. Pewnie liczyłem na to, że – jak to śpiewa Bob Dylan – „czas wszystko zmienia”. Byłem cierpliwy i wytrwały, choć niekiedy w nienajlepszym nastroju.

I to byłoby wszystko. Chciałoby się z Mary Hopkin zaśpiewać „[Those were the days, my friend. We thought, they'd never end](#)”. Ale skończyły się te dni, jak kończą się właśnie te moje z nich wspomnienia. Pisałem je w czasie, kiedy od matury minęło już prawie 50 lat. W pamięci zostało to, co zostało. Jest jednak coś, co nazywa się pamięcią zbiorową. Nasza klasa w momencie przystępowania do egzaminu dojrzałości liczyła chyba 33 uczniów. Niektórych, niestety, nie ma już między żywymi. Każdy jednak przecież coś w pamięci zachował. Spróbujmy może stworzyć jakiś obraz namalowany tą zbiorową pamięcią?!

Styczeń-luty 2012